Nr. 3. Kraków, marzec 1908. Rok IX

PRZODOWNICA

:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.



W KOŚCIUSZKOWSKĄ ROCZNICĘ.

Gdy kajdanami Polskę skrępowano
I z sił wyzuwszy, hańbą okryć chciano —
Kościuszko szablą, jak gromem zaświecił
I w polskich sercach dawne męstwo wzniecił
I wśród Racławic, wśród Warszawy błoń
Wawrzynem chwały ubrał Polski skroń.
Wieśniaczą dłonią gromiąc roty wroga,
Wskazał nam kędy do zwycięstwa droga...
Więc cześć Ci niesiem hetmanie wolności,
Więc serca niesiem pełne czci miłości
I laurem wieńcząc Twoją chrobrą skroń,
Do nowych przysiąg wyciągamy dłoń:
I przysięgamy tutaj wszyscy społem:
Nigdy przed wrogiem nie uderzyć czołem,
Lecz myśli nasze wytężyć i czyny,
By Polskę ubrać w zwycięstwa wawrzyny,
Przy Polsce zawsze, zawsze wiernie stać!
Żyć dla wolności, za nią życie dać!

Ostap.



W SETNĄ CZTERNASTĄ ROCZNICĘ.

Dnia 24 marca święcimy wielką, wiekopomną rocznicę.

Dnia tego, w roku bieżącym, upływa lat sto czternaście, od chwili, gdy na rynku krakowskim przysiągł narodowi Tadeusz Kościuszko, iż powierzonym mu orężem wypędzi z Polski jej wrogów, albo sam na nim padnie, a tchnąwszy w serca narodu nadzieję, zapał i męstwo, powiódł go w bój krwawy, a święty.

Tadeusz Kościuszko, stając na czele narodu, wytknął sobie dwa cele: obronienie niepodległości Rzeczypospolitej i zreformowanie jej społeczne, przez uwolnienie ludu od pańszczyzny i zbratanie wszystkich stanów.

Lud uwolniony miał obronić wolność i niepodległość ojczyzny — ojczyzna przez lud oca-

łona, przycisnąć go do macierzystej piersi i porównać z rycerskim stanem.

Początek drogi do tych dwóch celów był świetny. Na polach Racławic lud rolny udowodnił, iż godzien jest tarczy rycerskiej. Tego samego dowiedli w dniach 17. i 18. kwietnia 1794. roku mieszczanie stolicy Polski, Warszawy, wypędzając z niej Moskali.

Obok szlachcica Kościuszki, zajaśniały w aureoli chwały imiona: chłopa Wojciecha Bartosa Głowackiego, i mieszczanina, szewca bohatera, Jana Kilińskiego.

Ta trójca, to żywy sztandar nowej Kościuszkowskiej Polski, nieznającej żadnej różnicy stanów, lecz równą miłością ogarniającej wszystkie swe dzieci.

Bój tak świetnie zaczęty, pomimo mistrzowskiej obrony Warszawy, obrony, zakończonej tryumfem Kościuszki nad sprzymierzonemi armiami dwóch najpotężniejszych wówczas państw Europy i mimo zwycięskiej wyprawy genialnego Dąbrowskiego do Wielkopolski, skończył się wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, klęską na polach Maciejowic. Kościuszko padając na nich, w dniu 10. października 1794. r., ciężko raniony, dotrzymał wiernie złożonej przysięgi, a jeżeli nie ocalił Rzeczypospolitej od upadku, to przecież ochronił ją od hańby.

Bez powstania Kościuszki, Rzeczpospolita byłaby poszła w jarzmo wrogów jak nędzna, pogardy godza niewolnica, a naród polski byłby zatracił na długo, na całe wieki może, poczucie swego ja i bez szemrania poddał się najezdnikom.

Kościuszko błyskiem miecza swego ocucił go, a upadek jego ozdobił aureolą chwały.

Krew sześciu tysięcy bohaterów, którzy na polach Maciejowic stanęli przeciw wrogom niezłomnym murem i padli, krokiem przed nimi nie ustąpiwszy, zmyła hańbę upadku — zgliszcza Pragi wyryły w sercach narodu niezatartą zemstę, a świetny dzień Racławic wskazał mu drogę, po której kroczyć trzeba, by dojść do zwycięstwa. Drogę braterstwa, miłości i sprawiedliwości.

To też na polach Maciejowic Polska nie zginęła. Weszła tylko w nowy, ciężki, męczeński okres życia. Okres ciągłej walki przeciw najezdnikom.

Okres ten trwa do dni naszych i trwać będzie dopóty, aż cały naród nie przyjdzie do samowiedzy narodowej, aż cały naród nie zapragnie być wolnym i niepodległym.

Samowiedza ta i pragnienie były niegdyś udziałem małej tylko, wybranej części narodu, teraz zataczają coraz większe kręgi, wnikają w coraz szersze, podstawowe warstwy narodu

Prędzej lub później muszą zawładnąć sercami milionów — a wówczas nie będzie siły, którąby się nam oprzeć zdołała!

Historya nas uczy, iż upadają państwa, monarchie, będące dziełami rąk ludzkich, ale naturalne wytwory dziejów, ale narody, które sam Bóg stworzył, są nieśmiertelne!

Grecya, owa piękna, podziwiana Hellada, jęczała wieki całe pod jarzmem macedońskiem, rzymskiem i tureckiem, a przecież dzisiaj jest wolną i niepodległą.

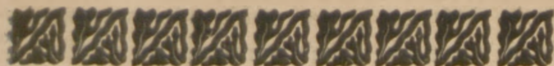
Gdy w r. 1389., na Kossowem polu, Turcy odnieśli zwycięstwo, zdało się, że Serbia, że Bułgarya na wieki umarły, a przecież teraz z murów Belgradu powiewa trójbarwny sztandar niepodległej Serbii, przecież nad Sofią połyska dziś złoty lew wolnej Bułgaryi.

Więc mimo kajdan, któremi krępują nas Moskale, mimo jadu który w nas sączą, mimo barbarzyńskich bezprawi Prusaków, twierdzących, że nikogo się nie boją tylko Boga, w rzeczywistości zaś nieobawiających się go wcale, a drżących za to, na samo wspomnienie imienia Polski i miotających się w szale trwogi przed nią, możemy z otuchą spoglądać w przyszłość i stojąc wiernie pod sztandarem orła, pogoni i archanioła, z pełną wiarą śpiewać nasz hymn nadziei:

Jeszcze Polska nie zginęła!

Inż. Eustachy Śmiałowski.





Sukienka, która z Nim razem rosła.

(Legenda).

Cudowne rzeczy opowiadają o sukience Chrystusowej. Miała ona z Nim razem róść, była nieszytą, pięknego czerwonego koloru i zawsze wyglądała jak nowa. Matka w miłości swej dla dziecka obwiodła ją dokoła rąbkiem złocistym, a kiedy przepłukiwała na święto w strumieniu, tęcza szła wodę pić i malowała słońcem złoty rąbeczek, tak, że jaśniał, jakby dopiero co z niebios zdjęty.

Kiedy Najświętsza Panna kończyła tkać sukienkę oną, siedziała w ogródku pod granatową jabłonią.

— Jakżeż ja dokończę sukienki Jezusowej — westchnęła cichutko — cała jest szkarłatnego koloru, a mnie pozostało tylko jedno pasemko białej wełny. — I spojrzała na jabłoń, na którą przy robocie zawiesiła pasemko, ale oto zamiast białego, wisiało tak czerwone, jak najczerwieńsze jabłko granatu. Uradowana matka dokończyła synowi pięknej sukienki i odtąd rosła ona z Nim razem, jak jabłoń w ogrodzie, która użyczyła pasemku barwy, swego szkarłatnego owocu.

* * *

Na początku świata jutrzenka nie wstawała w koralowej zorzy, ale wybuchała nagle, jak złocista ogromna żagiew, zapalając niebo i ziemię odrazu.

Ale pewnego dnia na najwyższym stoku Syonu, stanęło dwunastoletnie pacholę — tak rano, że ptaki i jutrzenka spały jeszcze, tylko na wysokich cedrach szyszki drżały od zimnych kropel rosy żywicznej. Założyło ręce na piersiach i poglądało w dal — na leżącą opodal świątynię jerozolimską.

Wtem jutrzenka obudziła się, a ujrzawszy, że Dziecię Boże raniej od niej stanęło na wzgórzu, przerażona poczęła trząść złotemi włosami nad głową pacholęcia i błagać:

— Jezu, zakryj mię... Jezu! Osłoń mię by Pan nie ujrzał, żem się spóźniła na niebie.

— Nie spóźniłaś się jutrzenko — pocieszał ją Jezus. — Ja to jeszcze przed twoim wczasem przybyłem tu.

Ale jutrzenka niepocieszona powtarzała:

— Królewiczu niebieski, anim ja oświetliła drogi Twej, anim otrząsła zimne rosy z drzew, by nie padały na stopy Twoje. — Zasłoń mię przed gniewem Pana!..

I zasłonił Jezus sobą, wstającą jutrzenkę, a ona przeświecając przez jego szkarłatną szatkę, po raz pierwszy dnia tego w koralowych świtach wschodziła nad ziemią.

A kiedy pod krzyżem żołnierze rzucali kości o ową szkarłatną szatę Chrystusową, czerwieńszą teraz od krwi Jego, jutrzenka z płaczem błaga Pana, by ją zabrał z rąk żołdaków do nieba.

I wysłuchał Bóg złotowłosej, płaczącej jutrzenki, zabrał sukienkę Jezusa do siebie i rozwiesił ją w obłokach. A gdy słońce w zachodzie ogląda się za sobą — patrzy czy sukienka Jezusowa płynie za niem po niebie. *A. Bandrowska.*



List „O godności pracy".

Dlaczego piszę do Was list, kochane Czytelniczki Przodownicy? Oto dlatego, że list zastępuje rozmowę. Kiedy rozmawiamy, mamy przed oczyma osobę, do której się zwracamy, a pisząc do niej, widzimy we wspomnieniu jej postać, jej ruchy, jej uśmiech i spojrzenia. I ja Was widzę, kochane Czytelniczki, jakkolwiek ani na jawie, ani we wspomnieniu, bo jesteście mi nieznane. Idąc za myślą pięknej nazwy Waszego pisma, widzę Was jako grono kobiet starszych i młodych, dziewcząt i mężatek, które przodują swoim rówieśnicom w poznaniu życia. Widzę Was

nietylko po wsiach, ale i po miasteczkach i miastach, przy pracy domowej i zarobkowej, rolnej i fabrycznej. Widzenie to moje jest zmienne. Raz jesteście dla mnie i wraz ze mną jedną osobą, to jest kobietą — to znowu dla mnie i wraz ze mną, jesteście kołem zwartem, związanem silnie splotem jednakowych, a rozlicznych obowiązków. Wszystkie bowiem urodziłyśmy się Polkami, stąd wszystkie mamy dla Narodu obowiązki. Wszystkie pełnimy obowiązki córek i sióstr, a wiele z nas obowiązki żon i matek. I oto dlaczego nie czuję się Wam obcą, ale blizką: oto dlaczego najmilszą mi jest forma pisanej rozmowy z Wami.

Jest jeszcze inna przyczyna, dla której wybrałam tę formę.

List piszemy wtenczas, gdy zachodzi tego jakaś potrzeba poza nami, albo w nas, to jest, gdy chcemy jakąś sprawę listownie załatwić, albo, gdy chcemy podzielić się z kimś drugim naszemi myślami i uczuciami.

Mnie skłaniają do pisania obie te pobudki, a o jaką sprawę mi chodzi, wykażą myśli i uczucia, które w listach moich wyczytacie.

Zacznę od zdania, które mnie w tej chwili mocno zajmuje. Wypowiedział je pewien mądry człowiek, wielki poeta i malarz, rówieśnik naszych wieszczów, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, nieznany za życia, a dziś coraz bardziej ceniony Cypryan Norwid. Wyrzekł on, że „Lud ręczną pracą zdobywa wiedzę“. Zanim przytoczę jego słowa dalsze, zastanówmy się, co to znaczy?

Kiedy człowiek znużony pracą siada, by odpocząć, wtenczas głowę jego napełniają tłumnie myśli, najczęściej o tem, co wykonał, lub co jeszcze ma wykonać. Wieśniak nie będzie myślał o warsztacie, ani mieszczanin o rolnictwie, lecz każdy z nich będzie myślał o swojem zajęciu i każdy z nich myśli swoje na swój sposób wyrażać będzie.

Miasto bardzo mało miejsca zajmuje w umyśle wieśniaka; dusza jego pełna jest obrazów wsi, jej przemian w porach roku; pełna widoku życia, na które wciąż patrzy i do rozwoju którego pracą swoją się przyczynia. Stąd wieśniak będzie porównywał swoje życie z życiem, ktore się koło niego krzewi — z życiem roślin i zwierząt. Mieszczanin, który spędza czas przy warsztacie, w fabryce lub sklepie, nie może tego porównania uczynić tak prosto i szczerze jak wieśniak; nie będzie ono związane z jego życiem, nie będzie z niego wynikało — będzie sztuczne. Rękodzielnik lub robotnik fabryczny nadaje kształt rzeczom martwym. Bucik, suknia, szafa czy gwóźdź powstały wprost pod jego ręką, lub przy pomocy maszyny, z surowego materyału. Przy jego współudziale dokonała się zmiana, dzięki której przedmioty bezużyteczne stały się rzeczami użytku. Stąd w duszy mieszczanina przeważają wyobrażenia rzeczy martwych przemienionych przemysłem i zręcznością człowieka i stąd też mieszczanin rozumie prędzej i godzi się łatwiej na zmiany w życiu własnem i życiu społecznem, aniżeli wieśniak. Dobry wynik jego pracy zależy od dobroci materyału i maszyn, albo od zręczności i siły jego, a nie jest zależny, jak przy pracy rolnej, od tych niepożądanych niespodzianek natury, od burz, wichrów i ulewy. Z tej przyczyny liczy mieszczanin więcej od wieśniaka na swoje zdolności osobiste. Pod wrażeniem ciągłego ruchu i gwaru miasta, w połączeniu z pracą nieustanną i jednakową mimo zmian w naturze, o każdej porze roku i przy każdym stanie pogody, wyobrażenie jego w życiu ludzkiem zamknie się w porównaniu życia jednostki do maleńkiego kółeczka w olbrzymiej maszynie, której kółko to jest milionową cząsteczką. Samo przez się bez znaczenia, nabiera wartości w połączeniu z innemi składowemi częściami maszyny. Porusza się ciągle i jednostajnie, bo porwane ruchem niepowstrzymanym musi mu ulegać.

Pokazuje się z tego, że praca ręczna, odmiennie i w innem otoczeniu prowadzona, napełnia myśl innemi obrazami i inaczej się wypowiada. Pokazuje się dalej, że wszyscy czy na wsi, czy w mieście idziemy przez

naszą pracę do jakiejś wiedzy, zależnej od naszego zajęcia i że praca ręczna nie jest zajęciem bezmyślnem, lecz pouczającem, bo kształtuje nasze dusze. Na tem kończę list dzisiejszy, odkładając dalszy ciąg do listu następnego. *W. T.*



STRAŻ NAD KARABINAMI.

— Stój!

— Kto tam?

— Z czem?

Tak wołano na granicy moskiewskich rządów, gdzie żandarmi czuwali, aby do Królestwa nie przedarł się ktoś od strony Księstwa.

Było to w lutym 1831 roku.

Ciemna noc zapadła.

Kozacy zatrzymali 2 wozy, naładowane karabinami.

— Stać! ani kroku, woła żandarm, nie ma pozwolenia na przewożenie broni, wozy zostaną.

Ponieważ żandarm nie wiedział dobrze, co ma zrobić z zabranymi karabinami, kazał przywołać ze wsi chłopów, stawia ich na straży i powiada:

— Jeśli do rana choć jeden karabin ztąd zginie, to kara będzie wielka. Za każdy karabin, któregoby zabrakło, zapłacicie po 20 zł. p... Stać i pilnować!... Karabiny są policzone, nikt mnie nie oszuka.

Postawił chłopów na straży, a sam goni do najbliższego miasteczka i pyta oficerów co robić z bronią zatrzymaną.

Znikł żandarm w mroku czarnej nocy.

Cisza rozległa dookoła.

Chłopi stoją zadumani, chmurni, niespokojni: gdzieś w dali czernieje gęstwina lasu, gdzieś z drugiej strony słychać szum drzew bezlistnych, a ze wsi jeszcze migają światełka z chat.

Józef Glibak oparł się o wóz z karabinami i duma. Zdaje mu się, że jakieś mgły ciche i głuche idą z oddali, a proszą go i żebrzą:

— Józku!... te karabiny na walkę za wolność, za wolność waszą i naszą... Józku, ty stoisz na straży karabinów i boisz się żandarma, a tam w walce giną bracia, krew się leje i nie boją się bohaterowie wielkiej armii cara...

— Józku!... jakiś głos z wichrem od lasu przylata... schowaj te karabiny tu w gąszczu moich krzewów, tu w cieniu drzew starych... ta broń kupiona ze składek ofiarnych, to broń sierót, które chcą Matkę ratować...

Porwał się Józek Glibak i mówi do towarzyszy:

— Słuchajcie bracia!... Kazał nam tu żandarm stać na straży jak sługom carskim, kazał nam tu pilnować, ażeby ani jeden karabin nie dostał się do rąk powstańców... Więc co mamy czynić? Komu mamy służyć? Żandarmowi czy Polsce?

– Dobrze mówisz, i ja już to myślał — odrzeknie Kuba.

— Bracia! nie mielibyśmy kropli krwi polskiej w sercu, gdybyśmy nie uratowali tych karabinów dla powstańców... Wiemy dobrze, iż ci, co walczą, broni nie mają... więc dalej za mną i karabiny w las!...

— Hurra! karabiny w las! – huknął Kuba i bierze broń na ramię...

Lecz inny na to:

— A płacić karę kto będzie?

— Kto zapłaci? My! Gmina zapłaci... Płacą inni życiem i krwią, możemy zapłacić dobytkiem i groszem... Broń, dzisiaj gdy walczą to rzecz pilna i ważna, żandarmowi jej nie damy.

Rada w radę — stanęło na tem, iż dwu będzie karabiny nosiło, dwu będzie je zakopywało w ciemnym lesie.

Mija długa, mroźna noc...

Ci, co straż nad karabinami trzymali, nie ustają w pracy na chwilę...

Coraz mniej karabinów na wozie, coraz więcej ich kryje się pod mogiły z suchych liści...

Wicher leci zdala i szepcze:

— Tam przy ognisku ranni i chorzy...

— Tam walka się toczy, kule grają...

— Tam matki dają synów w ofierze, tam dzieci ojców żegnają ze łzami...

— Czekaj, żandarmie—szepcze Glibach — ja ci przypilnuję karabinów, ja ci ich tak schowam iż nie znajdziesz, aż chyba na polu bitwy, gdy strzelać będziesz do żołdaków carskich.

Rano przyjeżdża żandarm z oficerem i żołnierzami, a wozy próżne, chłopi stoją wokoło.

— Gdzież karabiny? Gdzie karabiny? — woła żandarm wściekły z gniewu.

— Karabinów nie ma, a my tu płacimy karę, jako pan żandarm żądał.

I złożyli grosza wiele, w nocy we wsi uzbieranego.

Oficer siniał z gniewu, żandarm dostał po uszach i poza uszy, ale już wszystko przepadło.

Karabiny zaś poszły wkrótce dalej, a z karabinami Glibach, Kuba i dwu innych do powstańców pospieszyli,

Tak nasz lud umiał stać na straży obowiązków narodowych.



KOŁYSANKA MATKI.

Szumi las na polu i szumi dąbrowa, —
Kołysz mi się — kołysz, kolebko lipowa.
Kołysz mi się — kołysz od ściany do ściany,
Uśnijże mi — uśnij Jasieńku kochany!

Oczka ci osłonię gałązką leszczyny,
Będziesz spał, jak w gaju zielonym ptaszyny.
Jutro ci sukienkę z płócieneczka skraję,
W czapeczkę ze wstążek główeńkę ustroję.

Oj, będziesz nam nosił w dzbanuszku jagódki,
Nie płacz-że mi — nie płacz, aniołku złociutki.
Potem będziesz chodził na wygon z gąskami.
Potem wonne sianko będziesz grabił z nami.

A jak nam wyrośniesz na chłopczysia zdrowy,
Wezmę cię na odpust het! do Częstochowy.
Spleciemy wianuszek z róży i lilii,
Złożysz go na ołtarz Najświętszej Maryi.

I tam przed jaśniącym cudami obrazem,
Na twarz upadniemy z kompanią razem.
Kupię tam obrazek, szkaplerz poświęcany.
Ach! uśnij że uśnij, pączku mój różany.

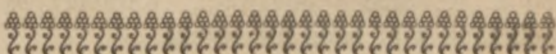
Wzrośniesz na młodziana, rańniejszy od słonka,
Pójdziesz w pole orać przy śpiewie skowronka.
Codzień w wieczór, z rana, padniesz na kolana,
Pocałujesz ziemię, dziecino kochana.

Latem żytko w polu ułożysz w pół kopki,
Będziesz do sąsieka śmigał raźno snopki.
Na okrężnem pójdziesz z dziewczętami w tany,
Skrzeszesz podkóweczką, syneczku kochany.

Kupię ci pierścienie, ojciec sprawią gody,
Przy skrzypcach przy basie wiek wspomniemy młody
Kołysz się, kolebko od ściany do ściany,
Uśnijże mi, nie płacz, kwiatuszku różany.

Lulajże mi słodko, pocieszko jedyna,
Obyś wyrósł silny, jak w lesie dębina.
Świeci złote słonko na modrzutkiem niebie,
Jabym to słoneczko zerwała dla ciebie.

Jabym cię syneczku, jutrzenką odziała,
Z białej bym ci chmurki poduszeczkę słała.
Kołysz mi się — kołysz, kolebko lipowa,
Niechże cię syneczku Pan Jezus uchowa!...



Sprytny synek.

— Czem być pragniesz, moje dziecko? — Ojciec syna pyta.

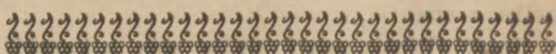
Ten odpowie:

— Ot, murarzem zostać chcę i kwita.

— A to czemu? — pyta ojciec.

Syn zaś na to krótko.

— Bowiem murarz nic nie robi przez zimę całutką!





Czy mrówki są szkodliwe czy pożyteczne?

Chcąc się upewnić, czy mrówki są owadami szkodliwymi, czy też pożytecznymi, należy przekonać się o tem, czem się one karmią, użyteczność bowiem lub szkodliwość różnych stworzeń zależy przedewszystkiem od rodzaju ich pokarmu.

Mrówki jadają najrozmaitsze rzeczy, zarówno zwierzęcego, jak i roślinnego pochodzenia, najwięcej jednak karmią się owadami oraz różnemi innemi drobnemi stworzeniami. Rozszarpują one i pożerają martwe owady, nie dają też spokoju i żywym. Szczególnie nieruchliwe i powolne gąsienice stają się bardzo często pastwą drapieżnych i żarłocznych mrówek.

Już to jedno wskazuje wyraźnie na wielką użyteczność tych stworzeń. Kto tępi i pożera owady, ten nie może być szkodliwy dla ludzi, wśród owadów bowiem znajduje się najwięcej szkodników.

Istotnie, można z łatwością wskazać liczne przykłady, jak dalece mrówki są pożyteczne dla lasów i ogrodów W czasie plagi gąsienic, ogałacających nieraz doszczętnie cały las z liści, drzewa, mające w sąsiedztwie mrowiska, zostają zwykle ocalone i zachowują świeżą zieloność, a to dlatego, iż mrówki, niby czujna policya, snują się ciągle setkami po ich pniach i pożerają każdą gąsienicę, która się zjawi na tych drzewach, uważanych przez nie, jakby za swoje.

O tej pożytecznej działalności mrówek leśnych przekonano się już dawno i próbowano nawet niejednokrotnie przenosić je na pola, żeby i tam tępiły szkodliwe gąsienice. Pokazywało się jednak zawsze, że mrówkom leśnym nie dogadzał posyt na polu i że wynosiły się one stamtąd bardzo prędko, z powrotem do lasu.

Zatem mrówki są pożytecznemi stworzeniami, jako zajadłe tępicielki gąsienic. Z tego też względu zasługują na ochronę.

Nie wszędzie jednak i nie zawsze człowiek bywa zadowolony z ich działalności. Przedewszystkiem kopczyki ich stają się bardzo niedogodne, jeśli mrówki usypią je w niewłaściwem miejscu, w ogrodzie mogą one uszkodzić przytem korzenie roślin uprawnych; na łące utrudniają koszenie.

Następnie mrówki są wielkiemi amatorkami wszelkich słodyczy, a przez to swoje upodobanie zrządzają nam nieraz szkody.

Najpierw pielęgnują one bardzo starannie drobne owady, zwane mszycami, a należące do wielkich szkodników, wysysają bowiem soki wielu roślin. Mszyce wydzielają z rurek na końcu ciała słodki sok, który mrówki lubią ogromnie zlizywać. Żeby więc mieć go zawsze w obfitości, znoszą one mszyce w sąsiedztwo mrowiska, umieszczają na odpowiednich roślinach, pielęgnują je i bronią przed innymi drapieżnymi owadami. Jeśli takie mszyce zniszczą nam rośliny uprawne, to możemy o to najsłuszniej obwiniać mrówki, chociaż same one nie tknęły ich nawet.

Zresztą upodobanie do słodyczy sprawia, że mrówki i same bezpośrednio zrządzają nam szkody; lubią one ogromnie słodkie owoce i niszczą je zarówno na drzewach, jak i w składach, o ile się mogą dostać do nich. Wnęcają się też nieraz do naszych spiżarni, robią tam spustoszenia w konfiturach, cukrze i innych słodkich zapasach.

Wreszcie niektóre gatunki osiedlają się w drzewach zupełnie zdrowych, a drążąc w nich korytarze dla swych mieszkań, toczą je, psują, a nieraz stają się nawet przyczyną uschnięcia drzewa.

Słowem, można ułożyć długi spis szkód, zrządzanych przez mrówki, tak, że w pierwszej chwili trudno rozstrzygnąć, co przeważa szkoda, czy korzyść i jak zatem należy ostatecznie zapatrywać się na te owady.

Rozwiązanie tej sprawy nie jest atoli wcale tak trudnem, jak się wydaje w pierwszej chwili.

O gatunkach osiedlających się w drzewach zdrowych niema nawet co mówić: są one stanowczo szkodliwe. Należy tylko nauczyć się je dobrze poznawać, a potem tępić wytrwale, ilekroć się pokazują w naszym lesie lub ogrodzie.

Ale co do innych gatunków, to na ogół pożytek przeważa zawsze nad szkodą, główny bowiem pokarm mrówek stanowią owady, zawsze więc możemy mieć nadzieję, iż będą one nam przyczyniać się do tępienia różnych szkodników. Nie trzeba jednak pozwalać, by same one zrządzały nam szkody.

Gdy próbują zakładać mrowisko na łące lub grządce ogrodowej, niema co namyślać się długo, lecz rozrzucić kopczyk i zrównać go z ziemią, albo też rozkopać i zlać gniazdo wrzącą wodą albo jeszcze lepiej ługiem, żeby wytępić mrówki, osiedlające się tam, gdzie ich nie potrzeba.

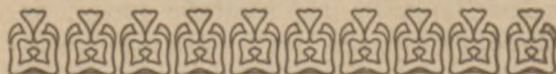
Drzewa owocowe należy wokoło pnia smarować lepem, wówczas mrówki nie będą mogły dostać się do owoców, ugrzęzną bowiem w tym lepie. Będzie to przytem miało ten dobry skutek, że zabezpieczy drzewa zarazem i od innych owadów bezskrzydłych.

Składy owoców i spiżarnie należy utrzymywać w porządku, aby nie było w nich szpar, przez które mrówki mogłyby się wśliznąć do środka.

Z tem zresztą bywa najwięcej kłopotu i mrówki nieraz stają się nadzwyczaj uciążliwe, gdy założą gniazdo pod podłogą mieszkania i zaczną stamtąd co nocy odwiedzać spiżarnię. Walka z niemi bywa nieraz niezwykle trudna, szczególnie, gdy gniazdo jest umieszczone gdzie daleko pod podłogą i nie sposób dostać się do niego bez zrywania podłogi a nawet i podwalin. Naówczas trzeba jaknajstaranniej pozatykać wszelkie szpary, żeby mrówki nie miały którędy dostać się do spiżarni.

Niektórzy radzą kłaść koło szpar, któremi wchodzą te owady, kawałki gąbki suto osypanej sproszkowanym cukrem. Mrówki włażą gromadnie do gąbki, a wówczas można ją wrzucić do wrzącej wody i zabić odrazu dziesiątki a nawet setki szkodników. Po oczyszczeniu z zabitych owadów, gąbka nadaje się znów do użytku jako pułapka. Sposób to zresztą dość uciążliwy i kłopotliwy.

Wogóle najwięcej bywa kłopotu z mrówkami, gdy wnęcą się do mieszkania. Takie mrówki możemy stanowczo uważać za szkodliwe i tępić je, jak się da. Leśne jednak należą przeważnie do stworzeń pożytecznych i zasługują na ochronę. *B. Dyakowski.*



RADY LEKARSKIE.

Choroba kręgów.

Od pewnego czasu szerzy się w naszym kraju epidemiczna choroba, zwana tężcem karku, (po łacinie „meningitis").

Jest to choroba, którą znamy od początku ubiegłego wieku. W r. 1805 pojawiła się w Genewie. Oczywiście nie należy sądzić, jakoby wówczas tężec poraz pierwszy się pojawił, ale dopiero w owym roku nad tą chorobą czyniono spostrzeżenia.

Choroba ta jest zapaleniem delikatnej skórki mózgu i kości pacierzowej, przyczem tworzą się wrzody. Główną przyczyną tej choroby ma być niezdrowe mieszkanie przepełnione ludźmi. Choroba ta zwykle poczyna się tem, że chory czuje się słabym, członki go bolą i nie ma do niczego ochoty; zimna febra trzęsie, głowa boli najwięcej w tyle głowy, oprócz tego chory uczuwa ból w gardle i w kręgach.

Plecy są sztywne, czasem wygięte jak pałąk, porywają częste wymioty, wzmaga się gorączka, wreszcie chory traci przytomność. Choroba zwykle trwa kilkanaście dni i jest bardzo zaraźliwa.

Leczyć należy w ten sposób: chodzi głównie o to, aby krew odciągnąć od głowy i oddalić febrę. Chorego sadza się dwa, lub trzy

razy dziennie do ciepłej wody, kąpiel trwa 10—15 minut. Potem trzeba dzień i noc obkładać chorego od pach, do końca brzucha płótnem złożonem we czworo ,a maczanem we wodzie letniej wystałej.

Na febrę używa się pary w łóżku, zimne ręce i nogi ogrzewać flaszkami z gorącą wodą obwiniętemi płótnem. Skoro choremu lepiej, to mniej często okładać go wodą. Nigdy nie trzeba głowy okładać lodem.

Niektórzy radzą okładać kark rumiankiem ciepłym we woreczkach, co pół godziny nowe kładąc, kark obmywać gorącym octem, a na brzuch także kłaść płótno maczane w gorącym occie. Najlepiej zawołać lekarza.

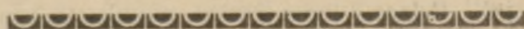
Sen. Jedno z pism zagranicznych, poświęconych specyalnie hygienie, podaje bardzo pożyteczne szczegóły na temat, ile człowiek potrzebuje godzin snu? Doświadczenie uczy, że dla zdrowia organizmu naszego potrzeba koniecznie: dla dziecka do lat dwóch — 18 godzin snu; od 3 do 6 lat — 14 godzin; od 6 do 8 wystarcza 12 godzin; od lat 8 przez młodzieńcze 10 godzin. Dla człowieka dorosłego wystarcza 7 godzin. Im więcej rozwinięty jest mózg ludzki, tem mniej potrzebuje godzin snu. Bardzo dużo śpią idyoci i dzikie narody, jak naprzykład: papuasi i buszmani, którzy zdolni są spać o każdej porze, o ile tylko nie są czemkolwiek zajęci, i zasypiają w dowolnych pozach stojąc albo oparłwszy się o drzewo. Dla mieszkańca miasta potrzeba stosunkowo mniej godzin snu, aniżeli dla wieśniaka. Wszyscy wielcy ludzie, jak Napoleon, Kossut, spali nie więcej jak 4—5 godzin na dobę. Goethe, Schiller, Humboldt, Fryderyk Wielki i Mirabeau, a nawet w późnych latach swojego życia uważali za dostateczne 2—3 godziny snu. Zdarzają się naturalnie wyjątki, Moivre, naprzykład, znakomity francuski matematyk, doszedłszy do późnego wieku 80 lat, spał po 20 godzin na dobę. Patrick i Gibert, dwaj lekarze amerykańscy, żeby się przekonać, jak długo człowiek może obchodzić się bez snu, wykonali na sobie doświadczenie, owocem którego było, że mogli obyć się bez snu tylko przez 4 dni i 3 noce, poczem doświadczenie musieli przerwać, zagrażało bowiem ich zdrowiu. Trzeciej nocy zauważono u nich gwałtowny spadek pulsu, a wewnętrzna ich ciepłota obniżyła się znacznie. Za najzdrowszy i najtwardszy uważany jest sen zaraz po północy. Dorosły człowiek powinien kłaść się na spoczynek o godzinie 10. Zimą należy spać dłużej, a latem krócej. Spać powinniśmy z ustami zamkniętemi, a oddychać nosem. Łóżko, na którem śpimy, powinno stać jak najdalej od okna i w pokoju o ile możności największym. Zdrowiej spać jest na prawym boku, niż na lewym. Sen na wznak szkodliwie odbija się na organach brzusznych, zaś na lewym boku źle wpływa na serce i płuca. Kołysanie dzieci do snu bezwarunkowo jest szkodliwe i może w przyszłości ujemnie odbić się na nerwach dzieci, usypianych tym sposobem.

Świerzb. Zaraźliwa i dotkliwa choroba świerzbem zwana, jest nieraz powodem wielkiego utrapienia w rodzinie.

Dobrym środkiem na to jest kąpiel z ługu. Ług przyrządza się z wody i popiołu drzewnego. Najlepiej, jeżeli do zimnej wody wsypuje się popiół, a następnie razem ogrzewa. Im silniej ciało chorego było zajęte pasożytem świerzbu, tem milszą dla niego będzie taka kąpiel, bo już w kąpieli odczuje błogie jej skutki. Pęcherzyki świerzbu po takiej kąpieli zbieleją, przyschną i wkrótce się wyłuszczą, nie zostawiając żadnego śladu.

W początkach choroby, jeżeli ona np. zjawi się na ręce wskutek zetknięcia się z chorym przez ujęcie jego ręki, wystarczy zrobić takiej wody z ługu w małem jakiem naczyniu i wymoczyć w niej ręce przez pół godziny.

Niechaj jednak w tym wypadku chory z ogrzanemi rękami w kąpieli nie wychodzi na ostry zimny wiatr, gdyż łatwo mogłaby się wskutek nagłego oziębienia rzucić róża na ręce. Niechże po takiej, choćby częściowej kąpieli, chory przeczeka potrzebny czas w mieszkaniu, aż ciało należycie wychłodnie.





WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Gwałt i podstęp. Nareszcie walka o ustawę wywłaszczającą w Prusiech dobiegła końca. Izba poselska Sejmu pruskiego przyjęła drobne „poprawki“, uchwalone przez Izbę panów, a następnie całe przedłożenie w trzeciem czytaniu. Mimo, że było to właściwie tylko prostą formalnością, wywiązała się i przy tej sposobności raz jeszcze dość ożywiona dyskusya. Rozpoczął ją poseł polski, ks. prałat Stychel, który tak ostro napiętnował ten nowy gwałt antipolski, że aż dwukrotnie naraził się na napomnienie i naganę ze strony prezydenta. „Nie rozsądek i sprawiedliwość, mówił ks. Stychel -- lecz krwawa pięść żelazna podyktowała tę ustawę. Zamierzacie nas obedrzeć z naszej duchowej i materyalnej własności, wypędzić z własnej ziemi — to przy pomocy środków, niegodnych rządu cywilizowanego państwa. Zapominacie o tem, że siódme przykazanie obowiązuje także w sprawie polskiej“. Za te właśnie silne akcenty słusznego zupełnie oburzenia prezydent Izby „przywołał do porządku“ mowcę polskiego. Wytrawny ten parlamentarzysta nie dał się jednak zbić z tropu tą drażliwością prezydenta — i w dalszym ciągu swej mowy chłostał w dobitny sposób hypokryzyę i bandycką zachłanność pruską, a na zakończenie zapewnił rząd i antipolską większość – że i ta ustawa podniesie tylko ducha narodowego w ludności polskiej i wzmocni tylko jej wewnętrzną jedność i tem samem doda jej nowych sił do walki o swój byt narodowy.

Aż dwóch ministrów pruskich usiłowało następnie odeprzeć i osłabić te ostre ciosy z ust polskiego mowcy – a nie posiadając do tego odpowiednich moralnych argumentów – odpowiedziało na nie groźbami nowych gwałtów. Tak jeden, jak i drugi dał do zrozumienia, że jeśli Polacy i teraz jeszcze nie ulegną, nie ukorzą się przed żelazną pięścią pruską -- rząd rychło sięgnie po dalsze jeszcze tysiące hektarów polskiej ziemi.

Groźba ta atoli już z tej przyczyny nie sprawiła żadnego wrażenia w Izbie, ponieważ i tak wszyscy są przekonani, iż ustawa obecna jest tylko początkiem dalszej jeszcze rozleglejszej grabieży polskiej własności.

A mimo to, mimo tej bandyckiej buty, okazywanej przez siepaczy pruskich — coraz widoczniejszem się staje, że drżą oni na myśl, iż ludność polska jednak stawi opór i nie ustąpi z swej ziemi rychlej — dopóki brutalną przemocą z niej wyrugowaną nie zostanie, czyli innemi słowy, ze zmusi ona tem rząd do zamienienia w czyn obecnie uchwalonej ustawy. Rzecz to niezmiernie znamienna, że teraz, gdy rząd dopiął już celu, gdy uzyskał już upoważnienie do wydzierania gwałtem ziemi polskiej, właśnie rządowe i hakatystyczne organa usiłują w tonie nibyto życzliwym przekonać Polaków, iż lepiej dla nich będzie, jeżeli do takiej ostateczności nie dopuszczą, lecz wyzbywać się będą swej własności.

Walka o język polski. Wiadomo, że równocześnie niemal z projektem ustawy o wywłaszczeniu polaków, ks. Bülow wystąpił z projektem nowej ustawy o stowarzyszeniach i zebraniach, która miała obowiązywać w całej Rzeszy niemieckiej. Dotychczas bowiem każde z państw i państewek cesarstwa niemieckiego posiada własne dotyczące ustawy. Wiadomo dalej, że i ten projekt miał charakter a n t i p o l s k i. Rząd pruski skorzystał bowiem z tej sposobności i włączył do projektu nowej ustawy osobny paragraf, jakiego niema nawet w dotychczasewej pruskiej ustawie, tej mianowicie treści, że na zebraniach publicznych i w stowarzyszeniach zabronione być mają wszelkie obrady w **nie** niemieckim języku. Paragraf ten zwracał się więc równocześnie przeciwko Duńczykom w Szlezwiku i Francuzom w Alzacyi, lecz głównie wymierzony był przeciwko językowi polskiemu.

List poznański.

Z bijącem sercem zdążałem z Wrocławia do stolicy Wielkopolski w myśli, że znajdę tam przygnębienie umysłów wśród rozpaczliwego położenia, wytworzonego przez zbrodniczą „ustawę“ o wywłaszczaniu polskiej ziemi. Już po drodze pewne objawy pobudzały moją wyobraźnię, nastrajając ją smutnie cznie, a nawet tragicznie. Jechałem czwartą klasą, aby się bliżej stykać z miejscową ludnością i ze słyszanych lub nawiązanych rozmów, w miarę możliwości poznać panujące usposobienie między ludem. Zaraz w Rawiczu pierwszej stacyi w Wielkiem księstwie Poznańskiem, przysiadło się przy mnie trzech włościan polskich. Jędrne postacie, silne chłopy o bardzo inteligentnym wyrazie twarzy. Żywą prowadzili między sobą rozmowę. W przedziale wozu siedziało kiku Niemców, na których oni wcale nie zważali, wyrażając się o Niemcach przez „oni“ z przekąsem. Mój sąsiad najbliższy, najmłodszy z towarzystwa, mówił dobitnie z silnym wyrazem energii w twarzy:

— Zjeść nas, da Bóg, przecież nie zjedzą. Albo to my nie tacy ludzie, jak oni. Nie damy ziemi, nie damy.

Wmieszałem się do rozmowy.

— O jakiej pan mówi ziemi? — zapytałem naiwnie.

— O naszej, prastarej polskiej ziemi, którą chcą nam wydrzeć. Ale nie damy, jak Bóg miły!

Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, a potem odezwał się:

— Albo ta pon nie wie, co z nami wyrabiają? Niesłychane rzeczy, wszystko chcą nom zabrać. Lecz ziemi nie damy. Poleje się krew. Nom wszystko już jedno, my bez ziemi nic... Poleje się krew — dodał z wielkim naciskiem — potem musi być lepiej. Inne mocarstwa na to nie zezwolą.

Nie przerywałem mu, chcąc poznać, jakie panują zdania i pojęcia między ludem.

— Co nasze, to nasze — mówił z nadzwyczajną zaciętością — od Boga, tego ruszać nie wolno. Alboż co to my? Czy gorsi od nich? Czy nie płacimy podatków, czy nie odbywamy służby w wojsku? Czy nie pracujemy ciężko, jak Bóg przykazał? Za co mają nos karać, zabierać mienie. Nie damy się, krew się lać będzie — powtórzył po raz trzeci, nie zwracając wcale uwagi, że Niemcy przysłuchiwali mu się z uwagą, milcząc jednak jak zaklęci.

Potem opowiadał mi, że niedawno się ożenił i po żonie otrzymał od jej „pana ojca“ piękny kawał ziemi, lecz mu rząd nie chce dać pozwolenia na budowę domu. Zwiózł cegłę i materyał drzewny na dom. Wszystko leży gotowe, pozwolenia na budowę otrzymać nie może i szuka swego prawa, „prowadząc proces z rządem“.

W Starym Bojanowie wysiadł z towarzyszami podróży. Na każdej stacyi wsiadali i wysiadali ludzie. Dostałem dwóch nowych towarzyszy podróży: dwaj robotnicy rolni z sochami i jakaś cięta, a zamaszysta kobiecina wiejska. Nawiązałem z nimi rozmowę. Kobiecina żaliła się, że Niemcy zawzięli się strasznie na nos“.

— Coraz nowe nieszczęścia idą na nos — mówiła. — Niemcy bardzo są zawzięci na polską wiarę. Teraz słychać okropności, którym wierzyć się nie chce. Pono chcą nam zabierać ziemię.

— Co? pono — odezwał się obok siedzący robotnik. — Albo wy gazet nie czytacie?

— Jakże nie, mąż mój trzyma „Wielkopolanina“.

— Toć wiedzieć musicie, że taka ustawa już wyszła.

— Jo temu nie wierzę, żeby wyszło prawo na rabunek. To byłoby tak, jak gdyby mi prawnie chciano zrabować kosz z masłem i jajami, który wiozę do miasta na sprzedaż.

— Za ziemię będą płacić — wtrącił drugi robotnik.

— Płacić! — odparła, zapalając się — kiedy my ziemi ojców sprzedać nie chcemy

tylko przekazujemy ją po naszej śmierci dzieciom. Jak je nie chcę sprzedać masła albo jaja, takiego prawa niema, żebym sprzedać musiała. Przecież za ziemię płacimy podatek.

— My się ta — odezwał się drugi robotnik do swego towarzysza — rozboju nie boimy, bośmy goli chałupnicy, a o naszą biedną grzędę ogrodu wielki cesarz niemiecki nie pokusi się...

Poczęli się śmiać.

— Tu — ofuknęła się kobiecina — niema się co śmiać — to nie żarty, jeśliby, jak mówicie, miało iść na śmierć lub życie. Jo, słaba kobieta, ale swego nie dom, choćbym ta miała pójść pod ziemię.

Na to rzekł pierwszy robotnik:

— Ależ matko, nie zapalajcie się tak bez potrzeby. Czy myślicie, że my nie z wami trzymamy? Alboż my co innego, jak wy? Oświecony człowiek, który czyta gazety, wie do kogo należy i co czynić ma wedle przykazania narodowego. Nom wszystkim stać razem, a będzie nom wszystkim lepiej. Jak czytacie „Wielkopolanina", będziecie wiedzieć, że panowie nasi i księża pamiętają o nas. Teraz w Poznaniu wielki zjazd Towarzystwa Rolniczego. Wszyscy najwięksi obywatele ziemscy będą tam, a na zgromadzeniu wystąpi ksiądz prałat Zymerman (Zimmermann) z wnioskiem o koalicyi robotników rolnych. A wiecie wy, co to znaczy? Znaczy to, że panowie upominają się naszej krzywdy, że my robotnicy rolni mamy się łączyć w związek, by się nie dawać wyzyskiwać w pracy za marną zapłatę. Oni nom, my im. Każdemu jego prawo.

— Ale i nom — rzekła energicznie kobiecina — nasze prawo. Nie damy sobie wydrzeć co nasze, a gdyby się targnęli — będzie źle nie tylko nom, ale i im, jak mi Bóg miły.

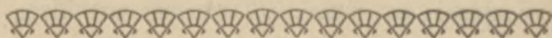
Zdumiony byłem tem, co słyszałem po drodze z ust ludu. Ułomki z tego, co powyżej przytoczyłem, są oddane niemal słowo w słowo jak najwierniej, bez żadnych przydatków i poprawek. Lud dzielny, szczep silny i nadzwyczaj inteligentny, narodowo wysoce uświadomiony, oświecony, pracowity i oszczędny. Taki lud nie ginie, chociażby najstraszniejsze biły w niego gromy krzyżackie.

Zupełnie inny nastrój w Poznaniu. wielkie rozgoryczenie i zamieszanie, lecz ogólnie przebija otucha natchniona wiarą w własne siły, w odporność polskiego narodu, który zdoła i ten cios srogi odwrócić od siebie i nie da się zmódz swemu wrogowi.

Ogółem wrażenie, jakie obecnie odnosi się w Poznaniu, przemawia na naszą korzyść. Dziś żywioł polski w Poznaniu bezsprzecznie silniejszy, aniżeli był przed laty dziesięciu, gdym tu bawił ostatnim razem. Widać to na każdym kroku, w każdym kierunku. Illustruje to następujący drobny fakt. Prezes „Straży", p. Kościelski, opowiadał mi między innemi, że kiedy między innemi uczęszczał do szkół w Starym Rynku, posiadającym okrągło sto kamienic, z tej setki tylko trzy były własnością polską, w roku 1889 było tam już 30 właścicieli polskich, obecnie zaś ze stu 70 kamienic jest własnością polską. Liczby to bezsprzecznie wymowne. Podobne przykłady w innych miejscowościach i z innych dziedzin irytują najbardziej Niemców i pobudzają do wściekłości.

W tej chwili można o Poznaniu, wskutek bardzo wielkiego zjazdu obwatelstwa wiejskiego na posiedzenia Towarzystwa rolniczego powiedzieć, że jest na wskróś polski. Po hotelach okropne przepełnienie, polski język przygłusza niemiecki w całem mieście.

G. Smólski.



Na Saksach.

Od 1 lutego w Prusiech, a od 1 marca w Meklemburgu, w obu księstwach Lippe i w Oldenburgu, został zaprowadzony dla zagranicznych robotników przymus kart legitymacyjnych, który tych robotników czyni prawdziwymi niewolnikami. Główną ofiarą brutalnego wyzysku, temi kartami spowodo-

wanego, padną robotnicy, przybywający z Galicyi i z Królestwa Polskiego.

Odbieranie paszportów przez urzędy policyjne, ustanowione nad granicą, uzależnia od nich w zupełności robotników zagranicznych. Zamiast odebranych dokumentów — świadczących tożsamości ich osoby, policya wydaje karty legitymacyjne, za które trzeba nadto płacić 2 marki, a o czem w umowie wcale się nie wspomina.

Wobec tego warto się rozejrzeć dobrze, jaki się gotuje los dla naszych robotników, którzy idą do Niemiec szukać tam zarobku w pracy na roli.

Centralna agencya, która sprowadza robotników rolnych, znajduje się w Berlinie. Układa ona warunki i ustanawia wysokość płacy. Ułożone przez nią formularze otrzymują agenci, którzy bezpośrednio układają się z robotnikami, a ponieważ są to ludzie pozbawieni poczucia sumienności i mają do czynienia z ludem ciemnym, więc fałszywem przedstawieniem rzeczy wyłudzają od zwerbowanych robotników podpisy i wysyłają ich na znoszenie ciężkiej niewoli.

Robotnicy zobowiązują się od dnia, który pracodawca oznaczy dla rozpoczęcia robót, pozostawać u niego, albo u jego prawnych następców tak długo, aż nie zostaną ukończone wszystkie roboty w polu (włącznie z burakami), a nawet młócenie, jeżeli pracodawca tego żądać będzie. W ten sposób długość trwania układu zależy od dobrej woli pracodawcy. Długość dnia roboczego wynosi 14 godzin, włączając w to pół godziny na śniadanie i wieczerzę, oraz godzinę na obiad. Oznaczenie czasu, kiedy ma nastąpić przerwa na przyjęcie posiłku, zależy od pracodawcy, który w tem się kieruje stanem robót. Pracodawca może przedłużać roboty, jak sam tego zechce. Pozwala mu na to następujący ustęp: „W gwałtownych wypadkach robotnicy, na żądanie pracodawcy lub jego zastępcy, muszą pracować ponad oznaczone godziny. Orzeczenie, czy zachodzi gwałtowny wypadek, zależy jedynie od pracodawcy lub jego zastępcy“. Wynagrodzenie za godziny nadobowiązkowe wyznacza się dla mężczyzn starszych od 18 lat — 15 fenigów, dla kobiet i chłopców młodszych — 10 fenigów.

Umowa nadto powiada, że robotnicy w czasie swobodnym powinni pomagać kucharce do obierania kartofli; a zamilcza zupełnie o tem, czy do liczby 14 godzin ma być policzony czas, od wyjścia robotnika z mieszkania i do przybycia jego na pole i odwrotnie wieczorem, chociaż na przejście tej drogi w wielu miejscach robotnik musi zużyć ze dwie godziny. Zwykle ten czas się rachuje; lecz w razie, gdyby któremu pracodawcy podobało się i w tem skrzywdzić robotnika, ten nie może prawnie upominać się o wynagrodzenie swej krzywdy.

Płaca dzienna oznacza się inna dla robotników galicyjskich i dla robotników, pochodzących z Królestwa Polskiego.

Dla robotników galicyjskich wyznacza się dla mężczyzn i chłopców silnych, którzy kosić nie mogą, — 90 fenigów do 1 kwietnia; 1 marka od 1 kwietnia do 1 czerwca; 1 mrk. i 20 fen. od 1 czerwca do 1 września; 90 fenig. od 1 września. W czasie żniwa (przez sześć tygodni) płaca się podnosi na 1 markę 40 fenigów. Mężczyźni, co mogą żąć lub kosić, otrzymują dziennie o 10 fen. więcej; kobiety i słabsi mężczyźni — o 10 fen. mniej, niż oznaczone powyżej płace. Czy robota ma być wykonywana dziennie albo też akordowo, zależy od decyzyi pracodawcy. Również od pracodawcy zależy, czy w dnie deszczowe mają pracować robotnicy.

Co do mieszkania, to umowa powiada tylko „ogólne i wolne zamieszkanie w domu robotniczym, rozdzielonym odpowiednio do dwóch płci“. O łóżkach się nie wspomina i zwykle też ich niema. Umowa zobowiązuje się dać robotnikowi siennik ze słomą i kołdrą wełnianą.

Na żywność przeznacza się tygodniowo dla mężczyzn — 10 funtów chleba, dla chłopaków i kobiet — 8 funtów. Dalej każda osoba

ma dostawać po funcie krup jęczmiennych, ryżu, grochu, mąki, słoniny i mięsa, 25 funtów kartofli, 5 litrów zbieranego mleka albo maślanki, lub też 3½ litra niezbieranego mleka albo osłodzonej kawy i ½ funta soli.

O zachowanie czystości w mieszkaniu nie jest łatwo. Podług przepisów zajmuje się tem jedna kobieta, zwykle żona nadzorcy. Sprząta ona mieszkanie, obiera kartofle i jeść gotuje. Musi jednak i w polu pracować. Jeżeli jest 10 robotników, to wolno jej odejść od roboty na półtorej godziny wcześniej przed południem i przed ukończeniem robót wieczorem; jeżeli w mieszkaniu jest 11—20 robotników, wolno jej nie przychodzić do pracy przed śniadaniem i po wieczerzy może wracać do domu. Tylko w takim wypadku przez cały dzień nie chodzi ona do pracy w polu, jeżeli ma do obsłużenia więcej niż 20 robotników.

Polscy robotnicy z zaboru rosyjskiego otrzymują płacę najemną nieco większą.

Umowa nie posiada żadnego punktu, któryby uprawniał robotników do jej zerwania; natomiast roi się ona od zastrzeżeń, na mocy których pracodawca może ją zerwać. A pokusa przedstawia się ku temu wielka dla pracodawcy, ponieważ przez to zyskuje 50 marek od osoby (wchodzi w to zatrzymana płaca najemna i koszta drogi). Za wydaleniem z roboty następuje wydalenie z państwa, jako „uciążliwego cudzoziemca".

Jożeli robotnik zachoruje, to nietylko nie otrzymuje żadnej płacy przez czas swojej choroby, ale nadto — podług umowy — zobowiązany jest przedstawić lekarskie świadectwo, jakiego rodzaju jest choroba, i jak długo trwać ona może, — a więc jeszcze sam wystawiony jest na koszta za wydostanie takiego świadectwa.

Niechaj nikt nie wyjeżdża za robotą na Saksy nie zapewniwszy sobie pisemnie wszelkich warunków w poprzedniej umowie.





DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przypomnienia gospodarskie na miesiąc marzec. Jak tylko się da najwcześniej przygotować zagonki pod rozsadę w miejscach osłoniętych od północy, z wystawą słoneczną.

Kto ma założone inspekta może wysiać na rozsadę: cebulę, kapustę, zwłaszcza wczesną, kalarepę, brukiew (karpiele), pory, jarmuz.

Siać w inspekcie rzodkiewkę, sałatę, szpinak, marchew, karotę, koper.

W końcu miesiąca siać w inspekcie nasiona kwiatowe.

Gdy nie ma inspektu, można w mieszkaniu wysiać do skrzynek lub doniczek niektóre nasiona warzyw i kwiatów, jeżeli chcemy je mieć wcześniej.

Jak tylko rozmarznie — kopać w ogrodzie i szykować zagonki pod warzywa, zaczynając kopanie od miejsc najsuchszych i mających najlepszą wystawę słoneczną.

Siać, gdy się tylko da pietruszkę i marchew.

Siać rozsadę, a następnie osłaniać ją od przymrozków.

Przy kopaniu wybierać pędraki w przygotowaną na ten cel doniczkę i dawać kurom lub kaczkom.

Tępić o ile możności myszy polne.

Rozrzucone w zimie komposty i nawozy równać i dopiero przekopywać.

Komposty przerabiać na kupach, gdy nie są ochronione od słońca, a zanadto dopieka, cieniować gałęźmi lub słomą.

Drzewa sadzić i przesadzać.

Kończyć skrobanie i bielenie drzew — również wycinanie suchych i niepotrzebnych gałęzi.

Skrapiać drzewa i krzewy cieczą brodoską lub innemi cieczami niszczącemi owady, nim się pączki zaczną rozwijać.

Kończyć obieranie suchych liści trzymają-

cych się na końcach gałęzi — palić je wraz z gąsienicami w nich siedzącemi.

Pędy korzeniowe przy drzewach wycinać.

Niektóre odbierać i sadzić do szkółki, zwłaszcza pędy śliwek i wiśni.

Gdy ruszą się pędy na drzewach, okopywać drzewa i zasilać nawozami.

Młode drzewa przymocować silniej do palików.

Drzewka dwu- i trzy-letnie ciąć na koronę.

Oczyścić z gumy drzewa pestkowe.

Morele, brzoskwinie, winorośl i inne delikatne drzewa i krzewy odkopywać częściowo, gdy zaczną wypuszczać, okopać i zasilić.

Na opaskach, założonych przeciw owadom, odnowić lep.

Krzewy owocowe pooczyszczać, z suchych i starych pędów — słabe pędy powycinać — te które wstawiamy poskracać.

Chcąc malin namnożyć, teraz rozsadzać odrostki korzeniowe.

Sadzonki agrestu, porzeczek, wina, sadzić na miejscu przeznaczenia.

W szkółce, szczepy pooczyszczać z niepotrzebnych gałązek i czopków — przycinać przewodniki — formować korony.

Siewki zeszłoroczne rozsadzić.

Gdy już będzie ciepło, zacząć szczepienie wiosenne, zacząć od wisien i śliwek.

Wykopać ze szkółki i sadzić drzewko na miejscu przeznaczenia.

Drzewka przeznaczone na sprzedaż wykopać ze szkółki i zadołować.

Całą szkółkę przekopać i uporządkować.

Szykować zagonki pod siewki owocowe.

Wysiewać w końcu miesiąca.

Zagonki z siewkami, po zasianiu ich potrząsnąć drobnym nawozem.

Drzewko szczepione w zimie w budynku, i przechowane w piwnicy, teraz wysadzić na miejsce przeznaczone i opalikować.

Drzewka i krzewy ozdobne, które były okrywane na zimę, odkrywać częściowo, ostrożnie żeby nie zmarzły.

Przesadzać krzewy ozdobne.

Zbyt gęsto rosnące, rozsadzać.

Najlepsza pora do przesadzania róż.

Przeszczepić róże, których szczepienie rok temu się nie udało.

Skupiny krzewów ozdobnych oczyścić ze śmieci, suchych gałęzi i okopać.

Rośliny pnące oczyścić, poprzycinać i porozpinać.

Kortowiny rozrzucać.

Trawniki oczyszczać, jeżeli potrzeba, teraz pora świeżo obsiewać.

Ciąć gałęzie olch, topoli, wierzb i sadzić w szkółkę lub obsadzać drogi.

Kopce i piwnice z warzywami i ziemniakami, silnie przewietrzać.

Zdejmować częściowo przykrycie z kopców w miarę zmniejszania się mrozu.

Strzedz, żeby woda nie podeszła do kopców i dołów.

Gdy mrozu nie ma, odkryć zupełnie kopiec, jednak robić to ostrożnie, żeby mróz nie schwycił — na noc przykopywać.

Przebierać warzywa i ziemniaki, a w końcu marca przenieść wszystko do piwnic — dobrze wyczyszczonych po poprzednich warzywach.

Wysadki pooczyszczać i poprzebierać.

Cebulę na strychu poprzebierać.

Dymkę sadzić.

Klomby i rabaty kwiatowe uporządkować.

Siać niektóre kwiaty letnie nieznoszące przesadzania, np.: rezedę.

Rośliny cebulkowe i innne zimotrwałe sadzone na zimę, jak się da najwcześniej okopać i uporządkować, żeby im później nie przeszkadzać do zakwitnięcia.

Georginie, pacioreczniki, monbrecye, mieczyki i t. p. posadzić do doniczek, żeby później przeniesione na grunt wcześniej kwitły.

Rośliny doniczkowe, jeżeli nie ma mrozu, a słońce dogrzewa, wynosić na dwór, na parę godzin dla przewietrzenia.

Które rośliny potrzebują przesadzania przesadzić w końcu miesiąca.

Kury i gęsi nasadzać.

Prosięta marcowe strzedz od mrozu.

Cielęta styczniowe odsadzić i poić.

Bielić płótno, gdy słońce dobrze dogrzewa.

O lnie. Len sieją w dwojakim celu: 1. na włókno do przędzenia i tkania; 2. na siemię do oleju. Jeśli len jest potrzebny na włókno, to należy obchodzić się z nim bardzo troskliwie. Od uprawy i żywności ziemi, jak również od wilgotności powietrza, a także od dobrego siewu zależy cienkość, moc i długość. Najodpowiedniejsza ziemia jest taka, aby miała piasek i glinę pomieszaną, a spód przepuszczalny. Najlepiej się przytem udaje i najpiękniej wyrasta w okolicach, gdzie bywa dużo rosy, a więc w sąsiedztwie morza, jezior, dużych bagien i dużych lasów. W miejscowościach pozbawionych takiego sąsiedztwa i wogóle zbyt suchych, len bywa nizki, włókno krótkie, tylko ziarno może być dobre. Nie warto też siać lnu na gruntach zbyt lekkich, piasczystych, ani zbyt ciężkich, zwięzłych.

Ziemia powinna być żyzna, oddawna dobrze utrzymana i nawieziona obornikiem, lub nawozem stajennym na lat dwa przed sianiem lnu. Na świeżym nawozie stajennym len wyrasta nierówno. Można jednak rolę pod len przeznaczoną użyźniać na niedługi czas przed jego uprawą nawozem płynnym. Rolę najlepiej uprawiać tak niemal starannie jak w ogrodzie. Po oziminie zorać trzy lub cztery razy zupełnie płasko bez zagonów, a na wiosnę przed siewem jaknajlepiej zabronować i wałkiem wygładzić. Len trzeba siać bardzo gęsto. Na 1 mórg gruntu brać $1^1/_2$ do $2^1/_2$ hekt. nasienia; im gęściej len wschodzi, tem wyżej wyrasta, a przytem i włókno ma lepsze.

Siew trzeba przykrywać cienko na 1 do 2 cm. Siejąc na małych kawałkach ziemi najlepiej do przykrywania używać nie brony, ale grabi ręcznych. Po przykryciu trzeba jeszcze walcem drewnianym przejechać. Najodpowiedniejszą u nas porą do siewu jest kwiecień i początek maja. Na jednem miejscu nie można lnu siać częściej niż co 6 do 9 lat. Len na ziarno do wytłaczania olejku, powinien być siany o wiele rzadziej. Na mórg wystarczy wtedy 30 litrów nasienia. Ziemia też może być nie tak starannie uprawna.

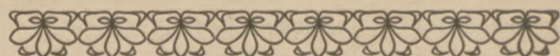
Hodowanie chrzanu. W pierwszych dniach marca przy suchem powietrzu, skopuje się kawał ziemi przynajmniej na 3 stopy głęboko i uprawia się ziemię gnojem drobnym, na pół przegniłym. Stary chrzan wyjmuje się z ziemi razem z korzeniem.

Do sadzenia wybiera się dobre korzonki i obcina się im koronę przynajmniej na 3 cale od korzenia.

Ziemię uprawioną dzieli się na rządki i sadzi się chrzan w ten sposób, aby jedna roślina od drugiej oddalona była o 20 cm.

Przed sadzeniem latorośli robi się kijem dziurę głębokości dwóch stóp. Wsadziwszy w ten sposób wszystkie korzonki, kopaczką ziemię się równa, a wtedy wszystkie będą pionowo z ziemi wyrastały.

Korzenie, które mają służyć do użytku, trzyma się w piwnicy, lub w ogrodzie w ziemi, skąd się je wybiera w razie potrzeby. Przez takie pielęgnowanie zyskuje chrzan na smaku i wartości.



Głupi.

— Zośka, prędko dasz kolacyę?

— Albo co?

— Bo mi się spać chce.

— Oj, głupi chłopisko! spać mu się chce, a on kolacyi żąda zamiast poduszczyny.

Przezorna.

— Nie płaczcie tak, Marcinowa, nieboszczyk już nie wstanie.

— Oj!... biednaż moja głowa... A schowajta do kuferka gromnicę, to się drugiemu przyda.

Na ulicy.

Przechodzień do chłopca, który oprowadza żebraka ociemniałego:

– Od jak dawna ojciec twój nie widzi?

– Zwykle od 7-ej godziny z rana, do 8-mej wieczorem.



ROZMAITOŚCI.

Na „Saksy“. W miarę zbliżającej się wiosny ruch wychodźczy robotników galicyjskich na „Saksy“ stał się żywiołowym, a Kraków jest punktem środkowym, przez który przechodzą i przejeżdżają gromady robotników, udających się za pracą na Zachód. Jak dowiaduje się krakowskie biuro pośrednictwa pracy, które stara się ruch wychodźczy ująć w swe ręce i nim pokierować, do Mysłowic przybywa codzień po 3 do 4 tysięcy robotników, przeważnie Rusinów i Słowaków z Orawy i ze Spiżu. Ludzie ci przeważnie jednak nie znajdują spodziewanej pracy, co się tem tłumaczy, że właściciele ziemscy w Prusach, w przewidywaniu i obawie bojkotu ich przez polskich robotników, już z góry zabezpieczyli się przeciw brakowi robotnika w ten sposób, że jeszcze w ubiegłym roku w portach amerykańskich porobili kontrakta z robotnikami, wracającymi masowo z Ameryki i robotników tych przetrzymali w miastach niemieckich.

O tem jednak nie doszła wiadomość do tych mas ludności, która co rok emigruje na „Saksy“, dlatego tłumy robotników rolnych dało się na początku roku bieżącego usidłać złotym obietnicom różnych prywatnych biur emigracyjnych, których agenci setkami wywożą ludzi do Mysłowic, Nowego Bierunia i Oświęcimia, gdzie urządzono formalnie targ ludzki. — Jeden z urzędników biura pośrednictwa pracy widział, jak agenci pruscy pod okiem władzy, bez żadnej kontroli, wyzyskują biednych emigrantów, traktując ich przytem jak niewolników, używając nieraz kija jako argumentu. Z tych tłumów robotników, zgromadzonych masowo przeważnie w Mysłowicach, właściciele dóbr w Prusach wybierają tylko ludzi najtęższych i najzdrowszych, co stwierdzić muszą naocznie ich wysłannicy.

Wobec tego tłumnie też wracają zawiedzeni robotnicy z powrotem w swoje strony, zatrzymując się w Krakowie, gdzie gromadnie udają się do miejskiego biura pośrednictwa pracy, żądając pomocy w każdym kierunku; zarówno przy wyszukiwaniu pracy, jak ułatwieniu powrotu do domu. Biuro jednak, z powodu braku sił, nie może w dostatecznej mierze podołać ogromowi pracy.

Niedawno przez Kraków przejechała partya robotników rosyjskich (z południowej Rosyi) 40 mężczyzn i 60 dziewcząt, którzy nie otrzymawszy zapowiedzianej przez agentów pracy, wracali z powrotem do domów.

O ile się tyczy wychodźtwa Mazurów, ci mając doskonałą praktykę z lat poprzednich, idą tylko na pewne miejsca, gdzie ich zawód spotkać nie może. Mazurów prowadzą stali przewodnicy, którzy znają już obce strony i warunki pracy.

W tym roku po raz pierwszy udaje się partya robotników galicyjskich do Czech, zorganizowana przez tutejszy urząd pośrednictwa pracy, który też wysyła robotników do Danii i Szwecyi.

Tutejszy dworzec kolejowy, zwłaszcza w godzinach rannych, przedstawia osobliwy widok i wrażenie jakiegoś obozowiska ludzi wiejskich (Polaków, Rusinów i Słowaków), gnanych troską o poprawę bytu, co uzyskać sądzą przez pracę na „Saksach“.

Straszna katastrofa. 160 dzieci spalonych. Pożar szkoły w Collingwood, jest jedną z najstraszniejszych katastrof, których tyle w ostatnim czasie Ameryka widziała. Katastrofa ta wykazała nie po raz pierwszy, że Amerykanie w pogoni za zarobkiem zaniedbują najprymitywniejsze środki ostrożności, nawet tam, gdzie idzie o coś najdroższego: o dzieci.

Przebieg katastrofy był następujący: W Collingwood, przedmieściu miasta Collorado, stolicy stanu Ohio, wybuchł we środę o godzi- $11^1/_2$ rano w szkole ludowej pożar w chwili,

gdy około 350 dzieci w wieku 8 do 12 lat zabierało się do wyjścia. Szkoła była umieszczona w 3-piętrowym budynku, a miała tylko dwa wyjścia. Ogień wybuchł na parterze od nadmiernie rozgrzanego pieca. Dzieci z wyższych pięter sprowadzili nauczyciele na dół, a na schodach panował jeszcze porządek; dopiero gdy dostali się na parter i spostrzeżono, że jest on jednem morzem płomieni, nastąpiła straszna panika i wszystkie dzieci naraz rzuciły się ku wyjściom.

W jednej chwili na kurytarzach skłębiły się masy krzyczących i płaczących dzieci, które nie słuchały próśb nauczycieli o utrzymanie porządku. Drzwi główne, ku którym dzieci instynktownie się cisnęły, były zamknięe: próby otwarcia ich nie odniosly skutku, gdyż otwierały się na wewnątrz, a ścisk dzieci był tak gęsty, że nie było ani centymetra miejsca na uchylenie drzwi. Jedna nauczycielka, która siliła się dostać do drzwi, została w ścisku zmiażdżoną; dzieci zaczęły rwać się naprzód i padać, a leżące tratowano bez miłosierdzia. Wszystko, które cisnęło się do tych drzwi, w liczbie około 150 zginęło; mało które dziecko zdołało się wyrwać i wyskoczyć przez okno, gdzie padało ranne Około 200 dzieci zdołało szczęśliwie dobić się do innych drzwi i uratować się.

Gdy w sąsiednich fabrykach zauważono pozar szkoły, wszyscy robotnicy pobiegli na ratunek. Przybyła też straż pożarna, ale ratunek okazał się spóźnionym; w dodatku drabiny nie dochodziły do trzeciego piętra, na którem znajdowały się najmłodsze dzieci. Po godzinie zawaliły się piętra i spadając na parter, pogrzebały pod gruzami około 150 dzieci.

Pożar skończył się o godz. $1\frac{1}{2}$ po południu. Na ulicy działy się tymczasem straszne sceny. Rodzice musieli bezczynnie przypatrywać się, jak ich dzieci ginęły w płomieniach. Ojcowie i matki płakali, modlili się wzywali ratunku i przeklinali, wyrywali sobie włosy, wołając imiona swych dzieci. Znaleźli się też odważni, którzy rzucali się w morze płomieni, próbując nieść ratunek. Jeden robotnik wyniósł 18 dzieci, poczem sam skonał na ulicy z odniesionych poparzeń. Jeden ojciec, widząc swą cóokę w ścisku, dopadł do niej i schwycił ją za ręce; tłum tak silnie był jednak ściśnięty, że nieszczęśliwemu ojcu pozostały w dłoniach ręce córki, wyrwane z ramion. Nieszczęśliwy dostał na miejscu pomieszania zmysłów.

Do wieczora wydobyto 152 trupów, z których wiele nie można było agnoskować. Uratowane dzieci są wszystkie bez wyjątku mniej lub więcej ciężko ranne; wszystkie musiano przewieźć do szpitala.

Większa część dzieci była pochodzenia niemieckiego; są to dzieci górników i robotników niemieckich, osiadłych od szeregu lat w Cleveland

Kobieta, która dzieci i kwiatów nie lubi, nie wiele co warta. Jest to utarte zdanie, wzięte z praktyki życia. Objaw ten nie jest obojętnym dla mężczyzn, podług niego osądzają oni przymioty tych, które upatrują sobie za żony. Do rozwoju duszy dziewicy konieczne pielęgnowanie kwiatów potrzebne. U mieszkanek wsi mało to widoczne, bo one żyją w przyrodzie, na okół są otoczone kwiatami — ale w mieście koniecznie im ta rozrywka i upodobanie potrzebne. U nas pielęgnowanie kwiatów coraz więcej się szerzy, a bukiety coraz liczniejsze. Widzimy to po rozwoju lokali kwiatowych w całym cywilizowanym świecie jest ogólnem. U nas mają nauczyciele nakaz od władzy szkolnej, aby wpajali w dzieci szkolne chęć do pielęgnowania drzewek i kwiatów, za które potem odbierać mają nagrody. Podobnie dzieje się w Anglii. W Londynie miłośniczka kwiatów, przechadzając się po zaułkach miasta, spostrzegła wielką pod tym względem obojętność. Postarała się o fundusz i zań kupiwszy dużo pudeł, ziemię i roślinki, puściła się na wędrówkę po tych ulicach, wożąc ze sobą owe rośliny. Rozdawała, gdzie tylko widziała skłonność, chłopcom i dziewczętom. Kiedy zapowiedziała, że udzielać będzie na-

gród za najlepiej utrzymane okazy, wzbudziła w życie zainteresowanie i tym sposobem pobudziła nawet starszych do pielęgnowania kwiatów.

Najzimniejsza okolica na kuli ziemskiej. Najzimniejszem miejscem jest przynajmniej według teraźniejszych wiadomości okolica miasta Werchojańska we wschodniej Syberyi, gdzie mróz dochodzi nieraz do 68^0 Celsiusza, a średnia temperatura stycznia wynosi 45^0, oczywiście mrozu. Mimo tego zimno nie jest tak dotkliwe jakby się zdawać mogło, ponieważ niema wiatrów, a powietrze jest bardzo suche. Tylko na wiosnę panują wichry i traszne burze.

W maju zdarzają się nieraz dnie, w których w południe temperatura ciepła dochodzi nieraz do 30^0 C, w nocy natomiast chwyta mróz.

W porze letniej przychodzą bardzo obfite deszcze, które są przyczyną wylewu rzek.

Wegetacya w tych okolicznościach jest bardzo licha, ponieważ drzewa żadne nie rosną, a są tylko łąki i pastwiska. Ludność licząca 10.500 głów, składa się z Jakutów i pokrewnych im Lamutów i poluje na zwierzęta, ryby i zajmuje się hodowlą bydła. Do wyżywienia małej rodziny potrzeba ośm krów, z których cztery doi się w lecie, a cztery w zimie. Prócz tego ludność utrzymuje renifery. Mnóstwo zajęcy stanowi także pożywienie ludności.

Domy drewniane pokryte są gliną i mają jedną tylko izbę, służącą zarazem dla ludzi i bydła. Nawet w porze zimowej wyprowadza się bydło na wolne powietrze, ale wymiona obwija się starannie, aby je ochronić od przemrożenia.

Srodek przeciw myszom i szczurom. Chęć pozbycia się szczurów i myszy polega na tem, aby do otworów ponakładać niegaszonego wapna i nalać na to wody a para stąd wywiązująca się wszystkie pozabija.

Wpływ karmy na dobroć mięsa wieprzowego. Najsmaczniejsze mięso wieprzowe i najcięższe na wadze wydają świnie karmione mlekiem. Karmione ziemniakami wydają mięso pulchne, lekkie, niesmaczne, a przy gotowaniu tracące wiele substancyi. Mięso od świń karmionych otrębami jest żółte i niesmaczne. Kuchy lniane i rzepakowe wydają pulchne tłuste, ale o niemiłym smaku mięso. Bób wydaje mięso twarde, trudno strawne i niesmaczne. Żołądź wydaje mało ważące, i ciężko strawne.

Łupiny z ziemniaków. Jeśli inaczej nie są zużytkowane, to można je po wysuszeniu użyć do rozniecenia ognia.

Popękane i odmrożone ręce pojawiają się najczęściej zimową porą i stają się wielkiem udręczeniem. Aby całkowicie usunąć odmrożenie, rozpuszcza się w litrze wody łyżkę miodu i naciera się ręce trzy razy dziennie tym płynem. Trzeba jednak ręce przed nacierciem dobrze wymyć.

Bardzo skutecznym środkiem do gojenia popękanych rąk jest cebula. Takową roztartą na tartce naciera się rany dwa razy dziennie, które się zwykle w krótkim czasie goją.

Również skutecznem okazało się kąpanie przez kilka minut odmrożonych członków w gorącym odwarze kory dębowej.

Gdy beczki ciekną. Sproszkowane, palone wapno miesza się z odrobiną świeżej krwi, zarabia się na ciasto i tą mieszaniną zatyka się cieknące beczki.

Inny sposób, również chętnie używany jest następujący: Bierze się 6 części smalcu wieprzowego, 4 części soli, 3 części białego wosku i 4 części przesianego popiołu drzewnego. Mieszaniną tą smaruje się w stanie rozgrzanym szczeliny beczki, poczem sączecie natychmiast ustaje.

Nowy sposób sztucznego wylęgania jaj. We Włoszech bywa zastosowany następujący sposób wylęgania jaj:

Dno płaskiej miski blaszanej odpowiedniej wielkości i boki jej wykłada się wełną, na której układa się przeznaczone do wylęgania jaja.

Następnie przykrywa się miskę pokrywą blaszaną łupkową, tak, aby pomiędzy jajami

a pokrywą pozostała jeszcze wolna przestrzeń na wysokość 1 cm. W stosie mierzwy wygrzebuje się dziurę około 40 cm. głęboką, o średnicy odpowiadającej rozmiarowi miski, wstawia w nią ostrożnie miskę, pokrywa lekko nawozem i pozostawia tam przez 20 dni.

Po 20 dniach mierzwę się usuwa, miskę odkrywa, a wylęgłe pisklęta oddaje pod opiekę kurze.

Jaja stare rozpoznać można, gdy pływają po powierzchni wody słonej, do której wzięto na 10 części wody 1 część soli kuchennej. Cuchnące lub zwietrzałe jaja pływają już na czystej wodzie, gdzie świeże i zdrowe natychmitst utoną.

Aby poznać, kiedy zostały zniesione, rozpuścić 120 gramów soli kuchennej w litrze wody i włożyć w to jajo. Jeżeli zupełnie świeże, pójdzie na sam spód; gdy pochodzi z dnia poprzedniego, nie dosięgnie spodu; a gdy przed trzema dniami było zniesione, natenczas pływa na powierzchni wody.

Jaja przechowują się doskonale w kwasie salicylowym. 50 gr. kwasu rozpuścić w odrobinie eteru winnego i rozcieńczyć 1 litrem wody; w tym płynie zostawić jaja na godzinę, następnie obetrzeć i zapakować do skrzyni ze sieczką.

Mniej rozumu, niż bydło.

Parobek pewien lubił często podchmielać sobie należycie. Nie podobało się to naturalnie jego gospodarzowi. Pewnego dnia, gdy parobek prowadził konie od pojenia, napowrót do stajni, rozkazał mu gospodarz:

— Idź, napój konie jeszcze raz!

Parobek wytrzeszczył oczy, ale że z gospodarzem niema żartów, zrobił, co mu nakazano. Wnet wrócił z końmi napowrót.

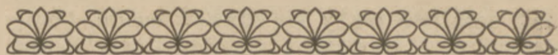
— No jakże? — spytał gospodarz. — Czy konie piły jeszcze raz?

— Gdzie tam — odrzekł parobek — przecież to każdy wie, że zwierzęta nie piją, jak nie czują pragnienia.

Gospodarz słuchał z uśmiechem, a potem rzekł:

— Weźże sobie przykład z twoich koni. Pamiętaj, że człowiek, który za wiele pije, mniej ma rozumu, niż bydło.

Od tego czasu parobek ustatkował się w piciu, bo wstydził się stać niżej, jak nierozumne zwierzę.



Złote ziarnka.

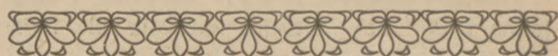
Jeśli starasz się dobrze swe dziatki wychować, one tak samo swoje wychowają i tak pójdziesz dalej, tworząc łańcuch dobrych ludzi. Ciesz się, że będziesz pierwszem jego ogniwem.

Usta matki, to jakby księga wymowna ku nauce dzieci.

Ten, co nic nie czyni dla zbawienia swego bliźniego, trudno, aby sam był zbawiony.

Nietylko o czyste sumienie, ale i o dobrą sławę się staraj; pierwsze twoja własna korzyść, drugie pożytek dla twoich naśladowców.

Nie dla siebie samych żyjemy, ale abyśmy się starali uczynić dla innych wszystko, co najlepszego jest w naszej mocy.



Sprostowanie.

Do utworu wierszowanego: „22-gi stycznia 1863 roku“, umieszczonego w numerze 1. i 2. „Przodownicy“, za styczeń i luty 1908, wkradły się dwie pomyłki drukarskie, a mianowicie: w zwrotce 5 ej, w wierszu pierwszym powinno być: s p r z y s i ę g n ę ł y, a nie sprzysięgły. W zwrotce zaś 10-ej przedostatniej, wiersz trzeci ma brzmieć: A l e n a r o d y c o t o z g o n, n i e z n a j ą — a nie, jak mylnie wydrukowano: Ale narody te zgonu nie znają.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera, Kraków



DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY

DO NR. 3 „PRZODOWNICY“ ZA MARZEC 1908 ROKU.

KLUCZ DO SERCA.

(Ciąg dalszy).

W parę dni potem, w niedzielę popołudniu zaprosiłam Józefową, Maryannę i inne gosposie do mojej izby na herbatę. Deszcz padał, po nieszporach ludzie do chat wrócili, dziecięta gromadkami bawiły się, czy w stodole czy w sieni, a my, ot, jako doświadczone matki radzimy, o niejednem.

Po chwili rzecze Maryanna:

— Grzecznie prosimy, niech pani nam po szczerości powie prawdę, czy można z dziećmi po dobremu się obchodzić i bez bicia wyuczyć, ażeby posłuszne były?...

— Radziby my radzi — rzeknie inna gosposia — nawet i ksiądz proboszcz na kazaniu uczy, nawet raz na misyi świętej jeden ksiądz wołał i napominał: „Matki! złością tylko złości nauczycie!“ — ale kiedy się nie da i nie da, na żaden sposób się nie da.

— Powiedz raz do dziecka bez krzyku, to już cię za łeb chwyci.

— A czy ta wdowa po gajowym nie prowadziła dzieci łagodnie, i cóż jej z tego przyszło? Wygnały ją dzieci potem i na żebrany chleb zeszła.

— Maryanna mówili, że pani ma klucz do serca dzieci...

— Czy trzeba kupować?

— Czy drogi?

A ja znów powoli, słowo po słowie:

Do serduszka, do mojego
Dam ci matko klucz...
Rózgą mnie nie napominaj,
Dobrem słowem ucz!...

Kobiety patrzą po sobie w milczeniu.

W izbie jakaś taka cisza, jak gdyby w kościele, kiedy się ludzie pochylą na głos dzwonka.

Sama się dziwię, że słowa moje wywarły taki wpływ silny.

Wreszcie Magda Brzezina pierwsza zaczyna:

— To niby ten klucz do serca, to niby dobroć?...

— Tak moje gosposie, matki, sąsiadki, nie moja to głowa wynalazła owo lekarstwo na wady dzieci, ale rozmaici ludzie uczeni, mądrzy, doświadczeni przekonali się i tysiące dowodów mają na to, iż dobrocią o wiele łatwiej dziecko kierować i aniżeli złością i krzykiem.

— Może tylko u państwa, gdzie dzieci delikatniejsze, ale nasze chłopskie dzieci muszą się bać, muszą znać posłuch, bez tego skaranie boskie by było.

— Jakby my tak dzieci bez rózgi wychowali, toby dzieci te na nas kije wnet podniosły...

— Niejeden raz choć się matce serce kraje, to bić musi, ażeby potem na sądzie boskim nie odpowiadała, że źle dziecko wychowywała.

Kobieciny znów się rozgadały. Gwar taki, że trudno przyjść do słowa.

Ta opowiada swoje, a ta swoje.

Czekam, czekam, aż po chwili, gdy się trochę uciszyło, zaczynam:

— Jeżeli dzieci są złe, to od was się złości nauczyły. Gdyby dziecko nigdy nie było słyszało słów gniewu i krzyku, nie umiałoby ich powtórzyć. Gdyby dziecko nie słyszało

nigdy słowa „psiakrew“ nie umiałoby „psiakrew“ powiedzieć. Gdyby dziecko nie widziało nigdy nikogo podnoszącego rękę do bicia, bićby nie umiało.

Dziecko wszystko to robi, co widzi. Widzi jak matka się chmurzy, gniewa, przeklina ono to samo naśladuje.

— Jużci to prawda, co pani mówią... Moja Rózia malusia, a już woła „psiakrew“.

— Gdyby u was w chacie nikt tego słowa nie powtarzał, dziecko by się go było nie nauczyło. Więc każda matka musi przedewszystkiem o tem pamiętać, ażeby dziecku nie dać przykładu gniewu. Jak to w zwierciadle odbije się wszystko, tak i w duszy dziecka odbije się życie rodziców, a matki w szczególności. Gdy matka cicha, łagodna, spokojna, cierpliwa, to i dzieci będą ciche, łagodne i dobre. „Nie daleko pada jabłko od jabłoni“, powiada przysłowie, więc już wiedzą wszyscy, iż dzieci bywają do rodziców podobne. Czy nie bywa tak niejeden raz, iż temu lub owemu parobczakowi odradzają, ażeby się nie żenił w tej lub w tamtej chacie, bo mówią: Matka piekielnica, kłótnica, córka taka sama będzie! — Każda matka powinna więc uważać, ażeby swoim przykładem dzieci złości nie uczyła, to najpierwsza i najważniejsza rzecz, jeżeli chce doczekać się pociechy z dzieci.

— Sprawiedliwie pani mówią, odzywa się Józefowa, ale choćby człek rad z całej duszy, nie ustrzeże się tego. My tu na wsi, proszę pani, przy gospodarstwie, dosyć mamy utrapień, niejeden raz aż się człowiek rozchoruje z krzyku i gniewu, tam ciele poszło w szkodę, tam od sąsiada wypaszli koniczynę, tu dziecko zbiło garnek, tam prosie ktoś walnął kamieniem i tak ciągle.

— Gdzieby tam człowiek wszystko wypowiedział!...

— Żeby to pani znała życie w gospodarstwie, toby się nie dziwowała, że krzyki robimy.

Znów rozgadały się kobiety. Po chwili, podawszy im po szklance herbaty, zaczynam opowiadać:

— Każda matka pragnie doczekać się pociechy z dzieci. Każda by chciała, ażeby jej dziecko najlepiej się w szkole uczyło, ażeby nauczyciel każdy pochwalił, aby dał za wzór i przykład innym dzieciom, ażeby i temu dziecku było wświecie, w życiu, na każdym kroku dobrze i z nim żeby było wszystkim dobrze. I do takiego życia prowadzą najczęściej matki biciem i krzykiem, więc oto pogadajmy dzisiaj po szczerości i rozumnie, jak należy, ażebyśmy wiedzieli, czyli biciem prowadzi się dziecko do złego, czy do dobrego? Weźmy taki przykład. Przyjechałam do waszej wsi na lato, na spoczynek, na to, ażeby z wami o niejednem pogadać, ażebyście wy mnie bliżej poznały, i ja waszemu życiu lepiej się przypatrzyła. Siedzimy teraz w izbie, deszcz pada, słonko jeszcze wysoko, mamy czasu dość. Wy mówicie swoje, ja swoje. Wybyście radzi mnie przekonać, że wasza prawda, a jabym chciała was przekonać, że moje jest prawda. Cobyście też powiedziały, gdybym ja zaczęła krzyczeć, gniewać się, i nawet bić was? Tożbyście uciekały odemnie myśląc sobie: wolimy być najdalej od takiej opiekunki. Każda z was uczułaby w sercu niechęć dla mnie, każdej zdawałoby się, że serce jej zziębło, niby lodem zmrożone...

— Słusznie, słusznie pani powiadają.

— Lecz kiedy rozmawiam z wami spokojnie, bez gniewu, niby zdaje się wam bliższa i lepiej znajoma. Otóż to jest klucz do serca — dobroć i łagodność. Z takim kluczem, do serca dzieci trzeba przychodzić, wierzcie mi matki, wiele więcej zyskacie, aniżeli przy pomocy rózgi, krzyku i przeklinania.

— Żeby to dziecko rozum miało i chciało posłuchać. (C. d. n.)





Jakie są przeważnie przyczyny zwykłych chorób ludu wiejskiego

(Ciąg dalszy).

Zimno nie szkodzi włościaninowi, gdyż jest on do niego przyzwyczajony, może mu jednak zaszkodzić, gdy w wielkie mrozy zanadto prędko się ogrzeje. Mróz silny, jeżeli tylko suchy i bez wiatru nigdy nie zaszkodzi, owszem, sprzyja zdrowiu, wzmacnia stałe części i obieg krwi przyspiesza. W czasie zimnego powietrza czujemy się silniejszymi, weselszymi i więcej usposobionymi do wszelkich ruchów. Starcom jednak i osobom słabszym, jak i dzieciom, może zimne powietrze być powodem do licznych chorób, może sprowadzić zapalenie, zawrót głowy, fluksye, choroby skórne, odmrożenia członków i t. p., przy niewielkich jednak ostrożnościach można tym smutnym wypadkom zapobiedz. Jeżeli przez dłuższy czas zmuszeni jesteśmy pozostawać na silnym mrozie, trzeba używać ciągłego i mocnego ruchu, nie wychodzić nigdy na czczo na mróz, jeżeli na nim długo bawić mamy. Odzież ma być przestronna, obuwie również przestronne, w które nałożyć trzeba słomy, siana, końskiego włosu lub owinąć nogi kilkoma arkuszami miękkiej bibuły pijącej, albo wełnianemi chustami. Również dobrze jest natrzeć członki tłuszczem, olejem, terpentyną, i t. d., ale części obmyte były suche, zanim się wyjdzie na powietrze. Nasi wieśniacy uzbrajają się zwykle na mróz trunkami spirytusowymi, co wprawdzie nie byłoby najgorszem, gdyby nie przechodziło miary i nie było używane aż do odurzenia, osłabienia i senności. Zasypiając w silne mrozy, zaniedbuje się należytych ruchów i przez to najłatwiej zmarznąć można.

Wódka, która w niewielkiej ilości użyta, już złe skutki sprawia i dlatego niepewnym, jest środkiem przeciw mrozom a tembardziej na czczo użyta. Również trzeba się wystrzegać, aby z wielkiego mrozu nie wchodzić zaraz do silnie ogrzanej izby i nie ogrzewać się przy ogniu lub gorącym piecu.

Podczas powietrza zimnego, wilgotnego i mglistego, daleko większej jeszcze trzeba ostrożności. Mgły zawsze są niezdrowe a szczególnie mgły ostre i cuchnące, nie należy też nigdy na mgłę wychodzić na czczo, najlepiej jest posilić się rosołem, żurem, zupą kminkową, polewką z serwatki lub przynajmniej zupą chlebową, zaprawioną solą i tłustością. Jeżeli zaś żadnej zupy mieć nie można, zjeść przynajmniej chleba z solą i kminkiem, należy się również dobrze przyodziać i szybkim, ale nie za prędkim ruchem utrzymać odpowiednie ciepło. Ostrożność tę trzeba zwłaszcza zachować, jeżeli się pracuje w czasie ostrego powietrza, w miejscach wilgotnych lub wczas na wiosnę, gdy lód i śnieg topnieje. Powietrze w tym czasie zawiera oprócz wilgoci wiele szkodliwych wyziewów, powstających z przedmiotów, które podczas zimy pod śniegiem zgniły. Na wiosnę panują zwykle chrypki, katary, fluksye, influenza, febra i t. p. Nietylko ciepło i zimno, ale nawet wypoczynek zimowy, ma wielki wpływ na zdrowie. Porą zimową lubią sobie wieśniacy dogadzać, korzystając z owoców swej pracy, mało też używają ruchu przy obfitem użyciu zazwyczaj twardych zimowych pokarmów. Ciało ich przywykłe do pracy, nie może znieść wypoczynku, zapadają więc na zdrowiu, trawienie osłabia się, a soki gęstnieją i stają się flegmiste, nie rzadko nabywają skłonności do kaszlu, gorączek, zatkaniu wnętrzności i chorób długotrwałych. Wielką wadą jest również zbyteczne napalenie w pomieszkaniach, pomimo, że ludzie znoszą bardzo wielkie gorąco w lecie bez uszczerbku zdrowia, to takie zbyteczne napalenie izby może być bardzo szkodliwem, gdyż w tem wypadku pozostają oni zawsze w nieczystem powietrzu i narażeni są na częste i silne zmiany powietrza, z wielkiego upału na silny mróz. Zmiany takie zdarzają się za każdym wyjściem z izby, sprawiają one mniejsze lub większe zaziębienia, kaszle, katary a często

nawet choroby zapalne. Izby powinny więc tem mniej być opalane im częściej je opuszczać mamy, wogóle ogrzewać izby tylko o tyle, aby zimna nie uczuwać, przedewszystkiem wystrzegać się wysiadywać około bardzo rozpalonych pieców i przebywania w izbach, w których powietrze nietylko silnie ogrzane, ale zarazem i nasycone wilgocią, dlatego też nie powinno się w izbach suszyć ani bielizny, ani pieluszek dziecinnych, nie przetrzymywać cebrów z wodą, wszelkie warze, jakie się gotują czy to dla ludzi, czy dla trzody lub bydła, powinny być szczelnie nakryte, aby para nie rozchodziła się po izbie, niema szkodliwego powietrza, jak powietrze zanadto ogrzane i przepełnione wilgocią. Ludzie, mieszkający w okolicach wilgotnych, nie dochodzą późnej starości i częstym podlegają chorobom.

Z tego więc widzieć możemy, dlaczego kaszle, katary, gorączki zgniłe i powtarzajace, reumatyzmy, biegunki i inne złośliwe choroby nigdzie tak łatwo nie powstają i nie szerzą się, jak między ludźmi, przebywającymi w atmosferze gorącej a zarazem wilgotnej.

Złe powietrze, złe założenie domów i zły podział pomieszkania, bardzo często są powodem różnych chorób, n. p. w okolicach bagnistych, w wązkich dolinach, w gęstych zaroślach, gdzie powietrze nie ma należytego dostępu i swobodnego przeciągu i zawsze prawie nasycone jest wilgocią. Często też, że pomieszkania stoją na gołej ziemi a często nawet w nią zapadłe, nizkie, okienka małe, słońce nie dochodzi wiele, a wilgoć ciśnie się przez podwaliny, przewiewu niema, a mieszkania takie są wilgotne i dla mieszkańców nie zdrowe. Najlepiej zauważyć to można na dzieciach i starcach, twarze ich są obrzękłe, wybladłe, a oddech trudny.

W takich domach podłoga czy lepianka powinna być przynajmniej na pół metra powyżej ziemi, spód powinien być wysypany piaskiem, kamykami lub gruzem ceglanym. Do złego powietrza przyczyniają się też wiele gnojówki, znajdujące się w bliskości pomieszkań, a nie mające żadnych odcieków, lub też spływające swobodnie brzegiem dróg, lub rozlewające się po obejściach. One to dają taksamo powód wielu złych chorób. Gnojówki pełne mniej są szkodliwe niż niepełne, ale że w każdym razie tak jedne jak drugie wydzielają z siebie części lotne, lepiej więc urządzić gnojownie trochę dalej od domostwa.

Bardzo szkodliwem także jest przetrzymywanie inwentarza w czasie mrozów w izbie mieszkalnej; niedosyć już że cała rodzina mieści się w jednej ciasnej i niskiej izbie, o jednem lub dwóch malutkich okienkach, to jeszcze niektórzy suszą całą bieliznę i pieluszki, trzymają w izbie bydło, trzodę, a już prawie zawsze drób, ten drób, który jest rozsadnikiem pluskiew. W takich izbach powietrze przepełnione jest wyziewami ludzkimi i zwierząt, parą od skipek i warzy bydlęcej dymem kaganka lub lampy, dymem z pieca lub fajki, i t. p. nieczystościami i staje się szkodliwem dla mieszkańców. Ludzie, przebywający w takiem powietrzu, słabną i gdyby nie wychodzili częściej na powietrze pewnieby zachorowali. Każda więc gospodyni powinna się starać o jaknajwiększe ochędóstwo w swoim domu i pomieszkanie ile możności kilka razy przez dzień przewietrzać. Nie koniec na tem, bo są jeszcze i tacy, którzy w zimie boją się wody i dlatego nigdy prawie przez całą zimę się nie myją, skóra narasta brudem, z tego powodu tworzą się najrozmaitsze choroby skórne, liszaje, parchy i t. p., a przecież i ta wielka plaga jaką są wszy, nie pochodzi z niczego tylko z nieporządku.

Potrawy grube i ciężko strawne, jakie włościanie przy ciężkiej pracy spożywają, są dla nich lepsze, aniżeli potrawy delikatne, a ponieważ są oni do nich przyzwyczajeni więc nie szkodzą one nawet starszym osobom.





DODATEK NADZWYCZAJNY

DO NR. 3 „PRZODOWNICY“ ZA MARZEC 1908 ROKU.

Urządzanie wieprzowiny i wędlin.

Na 24 godziny przed zabiciem, wieprz nie powinien już dostać jeść, tylko pić trzeba mu podawać parę razy. najlepiej wody lekko solonej, lub jeśli jest — serwatki.

Kiedy już wieprz zabity i należycie oczyszczony, oparzony, oskrobany po wierzchu, wiesza się go za zadnie nogi, przerzyna brzuch, wyjmuje wszystkie kiszki i zaraz. póki nie ostygną, odziera się od nich sadło, rozprostowuje i oczyszcza się je. Po pierwszem dokładnem oczyszczeniu z kału, wypłukuje się kiszki po kilka razy, wewnątrz i zewnątrz, potem zastruganym w kształcie noża patyczkiem szlamuje się je, czyli zeskrobuje się z nich osad i błonki do nich uczepione — czynność tę trzeba odbywać bardzo starannie, gdyż inaczej kiszki nawet po ugotowaniu mają pewien właściwy niemiły zapach przypominający zapach kału — jednocześnie uważać, żeby ich nie pokaleczyć, by w gotowaniu nie pękały — wyszlamowane kiszki płucze się znów starannie, potem wyciera solą — jeżeli jest śnieg, to i śniegiem — potrzymać je z solą z pół godziny. a potem namoczyć w czystej wodzie.

Następnie wyjmuje się z wieprza letkie (płuca), serce i wątrobę. Wątrobę trzeba wyjmować ostrożnie, żeby żółć nie pękła, po wyjęciu natychmiast żółć wyciąć — ale jej nie wyrzucać, jak to zwykle się robi, ale przewiązać sznureczkiem w miejscu, gdzie est otworek od pęcherzyka żółciowego i powiesić. Z żółci jest wiele użytków, o zastosowaniu jej powiemy później.

Dalej wyjąć pęcherz, który trzeba wycisnąć, wypłukać, nadąć powietrzem i powiesić. Pęcherz też jest użyteczny, a gdy w domu nie potrzebny, można go zawsze sprzedać. Potem wyjąć nerki, śledzionę, małe polędwiczki, a na ostatku sadło, którego nie trzeba mięszać z sadłem odejmowanem od kiszek.

Kiedy już wszystko ze środka wybrane, odcina się łeb, czyli tak zwaną głowiznę, przecina wieprza na pół, przez środek grzbietu, uważnie, żeby nie uszkodzić polędwicy. Zdejmuje się potem każdą połowę oddzielnie, układa na stole, odcina nogi, następnie wycina się szynki. Dalej odejmuje się słoninę. uważając, żeby nie zostawiać przy niej mięsa, które prędzej ulega zepsuciu. niż słonina. Wyjmuje się polędwicę, odcina schab, pokrzept; odbierając wszystkie odcinane kawałki mięsa na miskę, do krajania później na kiełbasy.

Z głowy wycina się podgardle, ozór, wyjmuje się kości, całą głowiznę zwija się w podłużny wałek, wiążąc mocno sznurkiem dla nadania jej żądanej formy; a kiedy już to wszystko przygotowane, przystępuje się do solenia mięsa.

Beczka do solenia powinna być koniecznie dębowa — można użyć beczki po winie, ale nigdy po kapuście.

Na każde 20 kilo mięsa bierze się kilo soli i 3 deka saletry. Każdą sztukę wkładaną do beczki trzeba mocno i długo nacierać solą umieszaną z saletrą — dno beczki wysypać samą solą bez saletry, następnie układać do beczki szczelnie jednę sztukę po drugiej, największe szynki na spód — wszystkie puste

miejsca między szynkami zapychając szczelnie mniejszemi kawałkami, jak polędwicami, czorem i t. p., żeby dobrze przystawało jedno do drugiego, gdyż w ten sposób lepiej nasłonieje i nie tak często trzeba przekładać. Każdą warstwę ułożonego w beczce mięsa posypać tłuczonemi korzeniami, t. j. pieprzem zwykłym i angielskim, kolendrem i bobkowem liściem. Słoninę nacierać także solą i saletrą i ułożyć na samym wierzchu; przyłożyć dobrze dopasowanemi pokrywami i przycisnąć kamieniem. Co tydzień wyjąć wszystko z beczki, sos odlać do czystej miski, lub garnka; te kawałki, które były na wierzchu ułożyć na spód i polać napowrót, odlanym sosem. Słonina powinna być zawsze na wierzchu, a jeszcze lepiej, gdy jest w osobnej beczułce zasolona. Beczka z mięsem powinna stać w zimnem miejscu, ale nie mroźnem, gdyż raz przemrożone szynki łupią się potem przy krajaniu. Sos powinien pokrywać mięso, gdy go mało, trzeba codzień szynki przekładać i przelewać sosem, lub też dorobić sosu, t. j. rozpuścić soli w przegotowanej wodzie i ostudzonym polać szynki.

Szynki, jeżeli mają być odrazu użyte, wystarczy, gdy leżą w soli 2 do 3 tygodni — na dłuższe przechowanie 4 do 6 tygodni. Poczem trzeba obsuszyć i uwędzić. Polędwicę po tygodniu można już użyć.

Kiełbasy. Kiełbasy robi się z pokrajanego drobno, lub siekanego mięsa.

Soli, pieprzu zwykłego i angielskiego, majeranku, dobiera do smaku, ile kto lubi.

Jeżeli kiełbasa ma być na dłuższe przechowanie, dodać odrobinę saletry, rozpuszczonej w paru łyżkach ciepłej wody.

Mięso powinno być dobrze i długo mięszane z korzeniami i solą, żeby wszędzie równo wszystko doszło. Kto lubi, może dodać odrobinę utartego czosnku. Dobrze jest zostawić doprawione już mięso na kiełbasy przez kilka godzin, a nawet do drugiego dnia i dopiero napychać do kiełbaśnic.

Napychając, uważać, żeby były równo i dobrze ułożone, gdy się pokaże powietrze, przekłuć igłą, powietrze wypuścić i szczelnie mięso dosunąć, gdzie brakuje. Po zrobieniu, kiełbasy obsuszyć, kto lubi, lub chce mieć na dłuższe przechowanie, uwędzić.

Salceson. Podgardle, nerki, śledzionę, podbrzusze, serce i nogi, które powinny być poprzednio dobrze oczyszczone, oparzone i oskrobane, gotuje się aż będą zupełnie miękkie — kładąc nie w zimną, ale w gotującą się lekko osoloną wodę. — Po ugotowaniu pokrajać na większe, lub mniejsze kawałki, jak kto woli, osolić, opieprzyć do smaku i nałożyć w żołądek wieprzowy. Zaszyć i gotować na wolnym ogniu.

Można dodać do mięsa krwi wieprzowej, jeżeli kto lubi. Salceson będzie wtedy czarny. Jeżeli się dolewa krwi, trzeba wziąć nieco więcej soli i pieprzu, a mniej pełno napychać do żołądka, gdyż krew pęcznieje.

Gotować na wolnym ogniu, licząc od zagotowania wody pół godziny, gdy salceson duży, trzy kwadranse.

Kiszki pasztetowe. Wątrobę wieprzową upiec lub udusić, następnie utrzeć na tarce. Wsypać do miski, rozetrzeć dobrze łyżką drewnianą, żeby jakiej grudki nie zostało. Dodawać: szklankę startej bułki, szklankę przetopionego szmalcu, jedno całe jajko, dwa żółtka. Wymieszać dobrze, gdyby masa była za gęsta, dolać rosołu od mięsa gotującego się na salceson. Soli, pieprzu zwykłego i angielskiego, i majeranku wsypać do smaku, t. j., jak kto lubi, więcej, lub mniej słone, więcej, lub mniej pieprzne.

Gdy już doprawione i dobrze wymieszane, włożyć słoniny ugotowanej i pokrajanej w kostkę. Słoninę kraje się bez skóry — skórę można użyć do kiszek kaszanych.

Po wymieszaniu ze słoniną, napychać kiszki szprycą. Flaki na kiszki pasztetowe wybiera się gładkie, nie karbowane. Końce zapina się szpilkami drewnianemi lub zaszywa.

Gotować, kładąc w gorącą, ale nie gotującą się wodę. — Gotować od zagotowania się 20 m., pilnując, żeby się gotowały poma-

leńku. Po ugotowaniu włożyć natychmiast na chwilę w miskę z zimną wodą, poczem ułożyć prosto na deszczkę, żeby równo zastygły.

Kiszki z krwi, zwane „Blutwurst“. Wziąć litr gorącego, słodkiego mleka, wsypać w nie tyle tartej bułki, ile w mleko wsiąknie. Sypać bułkę po trochu i mięszać ciągle. Postawić, żeby bułka napęczniała.

Przez ten czas przetrzeć przez durszlak 2 litry krwi — usiekać drobno słoniny surowej 1 funt, zmieszać z krwią i bułką. Dodać pieprzu pół deka, pieprzu angielskiego pół deka, trochę majeranku i trochę soli.

Postawić z rondlem na blasze nie zbyt gorącej i mieszać ciągle, żeby się nie przypaliło. Gdy masa dobrze gorąca, odstawić i napychać kiszki. Gotować od zagotowania 20 minut, potem wyjmując, umoczyć w zimnej wodzie, jak wogóle ze wszystkiemi kiszkami się robi.

Kiszki kaszane. Dwa litry kaszy tatarczanej (gryczanej), ugotować na gęsto. Dodać do tego: płuca (letkie) ugotowane i posiekane, ugotowane skórki od słoniny, skwarki od szmalcu, szklankę szmalcu przetopionego. Soli, pieprzu, majeranku, do smaku. Wymieszać dobrze, gdyby było za gęste, dodać trochę rosołu. Napychać w kiszki i gotować, licząc od ugotowania 15 minut.

Kiszki czarne. Na kiszki z krwią, doprawia się kaszę tak samo, tylko zamiast rosołu dolewa się krwi przetartej przez durszlak. Na kiszki z krwią doprawia się masa trochę rzadziej, bierze się soli i pieprzu odrobinę więcej i napycha się we flaki mniej, gdyż krew pęcznieje.

Gotuje się 25 minut.

Można także kiszki doprawić krwią gotowaną. Ugotować krew w niewielkiej ilości wody, mieszając na ogniu bez ustanku, żeby się krew nie przypaliła. Gdy się krew zetnie, odcedzić, bryłki krwi posiekać drobno i dodać do zaprawionej jak w powyższym przepisie, kaszy.

(C. d. n.)



STANIK Z 1 BOCZKIEM

sposób brania miary.

1. Długość stanu na plecach. Centimetr przykłada się powyżej karku i mierzy się pionowo, t. j. z góry aż do dolnego brzegu paska.

2. Długość ramienia. Centimetr przykłada się na karku i mierzy się do szyi na rękaw.

3 i 4. Szerokość pleców i długość rękawa. Centimetr przykłada się w połowie długości plec i mierzy się do wycięcia na rękaw, a stąd bez odejmowania do łokcia, a od łokcia do potrzebnej długości rękawa.

5. Druga szerokość pleców. Mierzy się od środka pleców w połowie ich długości, aż do przycięcia pachy.

6. Objętość pachy. Mierzy się wokoło ręki przy ramieniu.

7. Szerokość piersi. Mierzy się od jednego wycięcia pachy do drugiego.

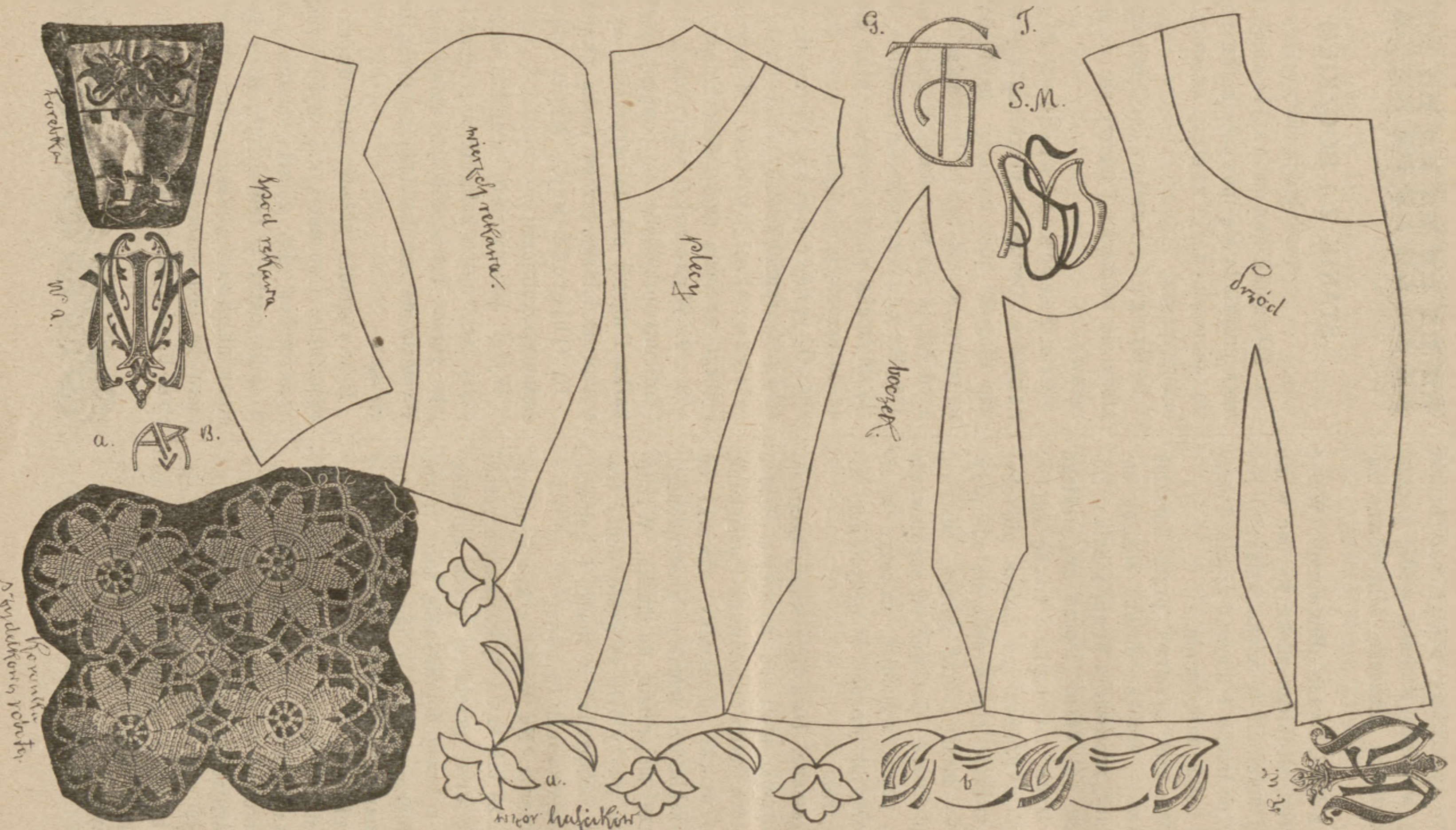
8 i 9. Wysokość wyszytek i szyi. Centimetr przykłada się powyżej kostki na karku i mierzy się do wysokości wyszytek, a stąd do dolnego brzegu paska na przodzie.

10. Objętość szyi. Mierzy się dosyć wolno po kołnierzu.

Wyżej podany krój stanika może być użyty Nr. 1 jako kaftanik wierzchni i Nr. 2 jako gorset, lub stanik perkalowy pod spód. Wycięcie do stanika dowolne mniejsze, lub głębsze.

Rękaw gładki składa się z dwóch części wierzchniej i spodniej, krajanych i zeszywanych osobno. Do gorsetu można przyszyć w około patki w ten sposób, że z tyłu od stanu naszywa się płasko jedna patka a dopiero po obu stronach naszywa się jedną obok drugiej aż do przodu.





1. Stanik z boczkiem i rękawami. — 2. Wzory do haftów. — 3. Wzory do koronki szydełkowej. — Torebka damska z płótna lub z materyału wełnianego, haftowena. — 5. Monogramy.